EPOKA

ROK III. | Warszawa, 20 września 1936 r. | Nr. 8 (73)

Treść numeru:

STANĄĆ W TYCH SZEREGACH!

W układzie stosunków polskich zakorzeniło się osobliwe a jadowite kłamstwo, które, jeśli nie zostanie wykarczowane, zarażać będzie swoim jadem sam rdzeń naszej opinii publicznej.

Do najwpływowszego, jak wiadomo, odłamu sfer gospodarczych w Polsce należą ludzie, reprezentujący kapitał zagraniczny. Panowie ci, zdobni zazwyczaj w mitry książęce i korony hrabiowskie, piastując w rozmaitych przedsiębiorstwach wysokopłatne stanowiska członków rad nadzorczych i zarządów oraz prezesów i wiceprezesów, mają za zadanie „ułatwiać" stosunki między finansierą zagraniczną a rządem polskim. Jak panowie owi zadanie swe pojmują, widać z piekącego świadectwa, które wystawił im swego czasu minister Zarzycki, wypalając na ich czole słowo „szmata".

I oto ci utytułowani ludzie-szmaty, płatni za to, aby służyć nie swojemu społeczeństwu, ale obcym ośrodkom dyspozycji, mają wszelką swobodę zrzeszania się i wzajemnego popierania swych interesów. Niedawny burzliwy epizod na jednym z posiedzeń senatu pokazał, że w popieraniu interesów swoich a więc także interesów swych mocodawców zagranicznych, panowie ci skłonni są wyzbywać się nawet elementarnych względów na dobro własnego kraju.

A przecież oni żadnej, mimo to, nie doznają przeszkody, gdy dla wątpliwych, podejrzanych a wielekroć publicznie wręcz napiętnowanych celów łączą i organizują swe wysiłki. Ani miecz ustaw, ani ostracyzm opinii nie dosięga nikogo z tych, co ponad granicami Polski snują misterną sieć wpływów i uzależnień, w których wyzyskiwany bywa zawsze kraj własny, wyzyskiwaczem zawsze kapitał obcy.

Ale niech w granicach własnego państwa chłop polski spróbuje podać dłoń robotnikowi, z robotnikiem i chłopem niech sprzymierzy się inteligencja pracująca, niech ramię polskie łączy się z mózgiem polskim, krew z krwią, praca fizyczna z pracą myśli polskiej — a natychmiast z tysiąca dzwonów alarmowych, targanych przez zapamiętałych dzwonników, wybucha podżegawcza psalmodia oskarżenia, wściekłości i szczucia przeciw powstającym ośrodkom zgody i braterstwa. „Precz z tą nienawistną zgodą! — ryczą i huczą rozkołysane dzwony wszystkich świątyń Mammona. — Świat pracy musi być skłócony! Świat pracy musi być rozbity! Wszystko, co dąży do zbratania chłopa, robotnika oraz inteli-

genta w jeden obóz pomocy wzajemnej i solidarności, jest podszeptem... szatana".

Sprawa tedy, napozór, przedstawia się tak, że gdy pewne koła w Polsce lgną do obcej finansjery i łączą się z nią ponad granicami kraju, to jest to łączność chwalebna i bogoojczyźniana. Ale gdy w obrębie Polski lud łączy się z ludem, to jest to robota zbrodnicza i karygodna!...

Czy można wymyślić kłamstwo, któreby większą zawierało truciznę?

Dążność do zespolenia całego naszego świata pracy pod hasłem budowania przyszłości Polski na zasadach równouprawnienia politycznego, społecznego i gospodarczego wszystkich jej obywateli uchodzić może za wymysł obcych agentur chyba tylko w głowie kretyna lub szalbierza, który zgóry chce sobie zastrzec przywilej pasożyta. W dążności tej bowiem odbija się to, co było w dziejach naszych najcenniejsze: sto lat najrdzenniejszej demokratycznej myśli polskiej, użyźnionej kulturą Europy, podpisanej krwią powstań naszych i rewolucyj, a przypieczętowanej ofiarą Okrzejów i Mireckich.

Nietylko więc instynkt społeczny, ale zdrowy samozachowawczy instynkt narodowy i państwowy przewodniczy masom, które szukają pomnożenia swych sił w akcji zorganizowanej i solidarnej. Rozumieją one bowiem, że poza niemi niema Polski, zdolnej oprzeć się naporowi tych, którzy niezupełnie jeszcze, być może, pogodzili się z faktem jej odbudowy. Łącząc się w celu samoobrony, rzesze inteligenckie i chłopsko-robotnicze łączą się przez to samo w obronie państwa polskiego, jego wolności, jego prawa do własnego rozwoju.

Każdorazowy, zresztą, rząd polski, gdy mówi szczerze, przyznaje, że, kto szuka siły w Polsce, ten nie będzie chodził po nią do dworów i pałaców pańskich, ale iść po nią musi do izb, chat i domów, w których mieszkają ludzie pracy. Gdy więc w ludziach tych ostoję siły wskazują inni, mieliżby nie dostrzegać jej oni sami? Mieliżby nie doceniać czynnika organizacji i zespolenia?

To też jest rzeczą zupełnie naturalną, że coraz ściślej, wierniej, trwalej zbliżają się ku sobie chłop i robotnik polski; coraz jaśniej widzi pracownik umysłowy, że jego przyszłość mieści się w szeregach Polski ludowej. Jeśli ruchowi temu można cokolwiek zarzucić, to chyba zbyt powolne i nierówne tempo, w jakiem się odbywa; zbyt późny moment, od którego się zaczął.

Gdy bowiem masa robotnicza w potężniejącej walce codziennej o warunki pracy i bytu wykazuje wzrastającą prężność, a temsamem nawiązuje z rzeszą pracowników umysłowych kontakt coraz to ściślejszy („Unja pracowników umysłowych"), to rzesze chłopskie stoją jeszcze niejako poza widownią, na uboczu, przygotowując się dopiero do podjęcia masowego, celowo zorganizowanego wysiłku. Stąd też inteligencja pracująca naogół nie interesuje się bliżej zagadnieniem chłopskiem, sprawami wsi, skoro bliższy i aktywniejszy ruch robotniczy pochłania całkowicie niemal jej uwagę. Milionogłowe, siłą i powagą nacechowane demonstracje chłopskie w dni Zielonych Świąt tego roku nie zwróciły należytej uwagi miejskiego odłamu społeczeństwa.

Niedocenianie roli ruchu chłopskiego może doprowadzić do popełnienia zasadniczych błędów i taktycznych pomyłek w decydującej chwili. Od masowego ruchu chłopskiego, od treści i form tegoż ruchu, od jego generalnego kierunku i ostatecznego celu działania zależy w Polsce, jeśli chodzi o jej byt i przyszłość, niemniej, aniżeli od ruchu robotniczego. Przewaga elementu chłopsko-rolniczego w budowie społeczeństwa polskiego jest pewnikiem, który spoczywać musi u punktu wyjścia wszelkich naszych rozważań politycznych. Stąd też płynie nauka wyraźna przedewszystkiem dla szeregów inteligenckich, ruch bowiem robotniczy docenia dziś całkowicie rolę masy chłopskiej w dziele przebudowy społecznej kraju.

Trzeba stanąć frontem do wsi — ale nie w tym dotychczasowym, zwietrzałym i szablonowym znaczeniu odpustowo-protekcyjnym. Trzeba wyjść poza szablony i zdobyć się w stosunku do wsi chłopskiej na postawę współtwórczą, opartą na współpracy i współszacunku.

Dziś bowiem, gdy wieś znalazła swą własną drogę, choć może w szczegółach i zwartości organizacyjnej jeszcze niezupełnie określoną, niemniej przecież zdążającą w kierunku wyraźnym — inteligencja pracownicza musi ostatecznie wyzbyć się przesądów i uroszczeń co do możliwości „przodowania i kierowania" ruchem chłopskim. Jak uporczywie przesądy i pretensje do przewodzenia chłopom zgóry, pretensje pochodzące niewątpliwie z czasów dawnej hegemonii szlacheckiej, pokutują dotychczas w środowisku inteligenckim, o tym mogliśmy się przekonać niedawno z obrad dwudniowego zjazdu, zwołanego przez rząd pod hasłem opieki nad kulturą wsi. Ziarn kultury niemożna między lud sypać z jaśniepańskiej ręki tak, jak sypie się poślad dla drobiu; kultura prawdziwa wyrastać musi i wyrasta z duszy chłopa, z warsztatu jego pracy, z tego, co robi i z tego, do czego dąży. To zaś, co robi się dzisiaj na wsi, jest zupełnie nowe. Odzyskana niepodległość polityczna dała w Polsce nietylko elementom mieszczańskim nowe warunki rozwoju, dała je przedewszystkiem chłopom.

Po okresie politycznych rozgrywek partyjnych na terenie wsi przyszedł obecnie moment odrodzenia — obudzenia się wśród chłopów nowego potężnego prądu pracy społeczno-gospodarczej i kulturalnej. Z prądem tym musi się inteligencja pracująca liczyć i do tej nowej sytuacji wszechstronnie się dostosować, o ile nie chce narazić się na to, iż w chwili decydującej nawet do głosu nie będzie dopuszczona.

Aby jednak, zrozumiawszy nowy porządek sprawy społecznej w Polsce, móc się odpowiednio ustosunkować do masowego ruchu chłopskiego, trzeba go przedewszystkiem poznać i to poznać poważnie i rzeczowo. Poznanie takie ułatwi współżycie i współdziałanie z ruchem chłopskim, a temsamem zabezpieczy rzeszy inteligenckiej słuszny i owocny społecznie udział w budowie nowego ładu. Dla pochodu demokracji polskiej będzie to miało znaczenie zasadnicze.

Masa chłopska żyła długie wieki w ustroju pańszczyźnianym, stąd też cała świadomość społeczno-gospodarcza ludu wiejskiego kształtowała się niemal wyłącznie pod kątem negacji. I czyż mogła kształtować się inaczej? Pracując nie dla siebie, ale dla innych, którzy byli jego panami, będąc przedmiotem nieograniczonego wyzysku, nie mógł chłop polski stać się współtwórcą nowej polskiej porozbiorowej społeczności. Powstania i walki o wolność polityczną nie ogarnęły go w charakterze masowego czynnika społecznego. Gdy zaś, za sprawą rządów obcych,

więzy pańszczyzny opadły ze wsi, chłop popadł pod władzę ekonomiczną bezimiennej gospodarki pieniężno-kapitalistycznej; pozatem puściznę duchowej pańszczyzny przejął od dziedziców kler, strzegąc w dalszym ciągu duchowej niewoli chłopa. Brak wyrobionych przodowników społeczno-politycznych spowodował, iż po odzyskaniu niepodległości masa chłopska wpadła skolei w ręce różnorakich i różnobarwnych politycznych spekulantów, którzy mieli na widoku nietyle dobro rzesz chłopskich, ile mandaty, uzyskiwane głosami chłopów. Tymczasem jednak płynęły lata. Na wsi polskiej jęło wyrastać nowe pokolenie, inaczej i nawskroś wolnościowo nastawione. I ono właśnie podniosło i dzierży sztandar odbudowy wsi polskiej, wysuwając pierwsze i podstawowe hasło — samodzielności chłopskiej.

Zagadnienie stosunku swego do kleru, biurokracji oraz do kapitalistyczno-mieszczańskiego elementu gospodarczego wieś przesądziła ostatecznie i stanowczo w kierunku negatywnym. Odrodzenie gospodarcze ujęła wieś zasadniczo przez jednomyślne i bezapelacyjne przyjęcie zasady wywłaszczenia wszystkich obszarów dworskich bez odszkodowania i objęcie przez lud „całej ziemi", jako podstawowego warsztatu pracy chłopskiej. W tym jednym już, a jakże kapitalnym zagadnieniu, leży fundament samodzielności chłopskiej. Wieś weźmie ziemię, chłop będzie generalnym i jedynym producentem w tej dziedzinie gospodarczej — będzie „sam" w tych sprawach decydował, oczywiście zgodnie z powszechnym interesem społecznym.

Stosunek do rzeszy robotniczej ustala się w tej chwili w ruchu chłopskim w coraz to bardziej harmonijną współpracę z organizacjami i związkami robotniczymi, reprezentowanymi przez naczelne władze Polskiej Partii Socjalistycznej. Uznanie twórczej myśli chłopskiej, jej przejawów na terenie społeczno-gospodarczym i kulturalnym, uznanie samodzielności chłopskiej w zakresie poszukiwania własnej, oryginalnej koncepcji ustrojowej — oto właśnie zmiana, jaka zaszła w dotychczasowym stosunku polskiego socjalizmu do ruchu chłopskiego. Dawniej bowiem czołowi działacze P. P. S. nie byli skłonni do uznawania równorzędności obu tych czynników, jakie stanowią myśl chłopska i myśl robotnicza. Tu właśnie odbywa się pierwszy akt generalnej zmiany sytuacji społecznej w Polsce. Z powodu uchwał Rady Naczelnej P. P S. — pisze redaktor „Robotnika" Niedziałkowski o stuprocentowo lojalnej współpracy P. P. S. z ruchem chłopskim, skupionym w Stronnictwie Ludowym; uznaje istnienie nowego twórczego ośrodka myśli i czynu społecznego. W szeregach tego zespolonego świata pracy powinna również stanąć i stanie niezawodnie polska inteligencja pracująca.

Z DNIA NA DZIEŃ

JEDNO Z ICH KŁAMSTW.

Oświadczenie Ligi Obrony Praw Człowieka i Obywatela potępiające przebieg i wynik moskiewskiego procesu t. zw. „trockistów" jest jednym z licznych dokumentów, które zadają kłam ustawicznym zarzutom, jakoby żywioły radykalne w Polsce stosowały niejednakową miarę w ocenie zbrodni politycznych, jakoby sankcjonowały wszystko, co się dzieje w Rosji sowieckiej. Powtarza się wciąż to kłamstwo, że radykalizm polski, piętnując różne bezeceństwa faszyzmu czy hitleryzmu, toleruje analogiczne potworności, o ile odbywają się na terenie Sowietów. Nieprawda. Radykalizm polski ma miarę uczciwą w kwalifikowaniu wszystkiego, co obraża elementarne zasady wolności i sprawiedliwości.

Oczywiście, ani jedno z pism reakcyjnych nie wspomniało o uchwale Ligi Obrony Praw Człowieka i Obywatela, którą rozmaite ciemne błazny i cyniczne łajdaki nazywają „ekspozyturą Kominternu". Teraz, po uchwale Ligi byłoby im trudno utrzymać tę prowokatorską nomenklaturę, musieli więc oświadczenie Ligi przemilczeć.

ICH PUBLICZNOŚĆ.

Francja daje teraz politycznemu światu naukę. Za rządów Frontu Ludowego widać wzrastającą troskę o sprawę obronności kraju, większą, niż za rządów poprzednich. Projekt przedłużenia służby wojskowej wysunięty jest przez żywioły, proklamowane przez wszechświatową prasę faszystowską, jako... antynarodowe.

We Francji dzisiejszej, właśnie dzisiejszej, daje się najwyraźniej stwierdzić wysokie napięcie uczuć patriotycznych, najściślej w tym kraju związanych z umiłowaniem wolności i przywiązaniem do Republiki.

We wszystkich dżunglach moralnych nakłamano się coniemiara o gabinecie Leona Bluma. Gabinet ten miał pchnąć Francję w... odmęt anarchii, osłabić jej siłę, uczynić powolną sługą Moskwy. Te brednie powtarzane były w ciągu paru miesięcy przez wszystkie organy faszyzmu na obu półkulach, a już całkiem bez przytomności politycznej — u nas, w prasie endeckiej wszelkich odcieni. I oto, właśnie za gabinetu Bluma — zbliżenie polsko - francuskie, które znalazło najbardziej demonstracyjny wyraz w uroczystym przyjęciu gen. Rydza-Śmigłego.

Zrozumienie politycznego interesu w zbliżeniu z Polską jest we Francji tak silne, że nawet organ komunistów francuskich *„L'Humanite"* w sposób doskonale rozsądny zamieścił artykuł, wyrażający z powodu wizyty gen. Rydza-Śmigłego żywe zadowolenie.

Jakie wnioski z takiego stanu rzeczy we Francji wyprowadzą ci, którzy dzisiejszy rząd francuski obrzucali stekiem obelg?

Wiadomo: nikt z nich niczego nie odszczeka, a każdy znajdzie sposób, żeby nadal zatruwać słabe mózgi, które o niczem nie myślą samodzielnie, nic nie pamiętają, o logikę nie dbają i żadnej nie żądają konsekwencji. Kler i endecja mają dobrą publiczność: wszystko przyjmie na wiarę, a niema takiego kłamstwa, któreby się nie wydało prawdą.

WYWIAD Z DUCHEM KRÓLEWSKIM.

W pogoni za sensacją *Ilustrowany Kurjer Codzienny* udaje się po wywiady do sfer pozaświatowych. Oto bowiem kurierek krakowski ogłosił rozmowę z Don Carlosem VII-ym, zaopatrzoną w srogą markę ochronną: „Copyright by I.K.C.". W wywiadzie tym Jego Królewska Mość, Don Carlos VII zwierza się rozczulająco, że jego ojcu Don Carlosowi VI ojciec zdetronizowanego ostatniego króla hiszpańskiego, mianowicie Alfons XII, „przemocą odebrał koronę". Ten akt srodze krzywdzący i rozdzierający serca republikańskie w I.K.C. może wogóle uszedłby uwagi, gdyby nie ta godna pożałowania okoliczność, że cały wywiad przeprowadzony został z dość starym nieboszczykiem, bowiem Don Carlos VII umarł bez mała trzydzieści lat temu, w 1909 r.

Monarchistyczne *Słowo*, dotknięte w swych uczuciach dynastycznych podobnym wywiadem ze zmarłym, wyjaśnia szczegółowo, iż do 1932 r. pretendentem był Don Jaime, że ojcem rzekomo żyjącego Don Carlosa VII i naprawdę żyjącego Don Alfonsa był nie Don Carlos, lecz Don Juan, i wreszcie, że koronę odebrał nie Alfons XII, lecz Ferdynand VII i nie Carlosowi VI, ale Carlosowi V-mu. W tym sporze genealogicznym między dwoma faszystowskiemi pismami trzeba niewątpliwą przewagę przyznać wileńskiemu *Słowu*. Ale warto byłoby się dowiedzieć jeszcze od *I.K.C.*, co o życiu współczesnym sądzą i inni, dawno zmarli pretendenci do koron królewskich we wszystkich republikach powojennych.

OSOBLIWE STANOWISKO.

Pan W. N., witając życzliwie w *Czasie* wystąpienia publiczne w obronie czci Stanisława Brzozowskiego, zajmuje w końcu dość osobliwe stanowisko, bo oto powiada: „Czy współpracował w Ochranie czy nie — to sprawa podrzędnego znaczenia. Ale, że był jednym z najciekawszych, najbardziej godnych poznania pisarzy naszych, to jest naprawdę doniosłe".

Co to ma znaczyć? W jakim to świecie duchowej twórczości daje się godzić moralne dobro narodu z robotą szpiega na służbie katów tego narodu. I to się nazywa „rzeczą podrzędną"! Jeżeli p. W. N. mówi to poważnie, to go żałujemy.

Hańbiące piętno w służbie ochrany nie jest rzeczą podrzędnego znaczenia, a wszyscy pisarze, broniąc czci Stanisława Brzozowskiego i domagając się rehabilitacji jego imienia, posiadają mocną podstawę moralną, gdyż przekonani są o jego zupełnej niewinności.

TRUD NAJWIĘKSZY.

Łatwiej byłoby własnymi rękami przekopać tunel w górach Himalajskich, niż do głowy fanatycznej wprowadzić jedną myśl krytyczną.

GRADACJA.

Wieluż to idiotów i krzykaczy imponuje swojej publiczności! Karły wywołujące entuzjazm liliputów.

CZY BĘDZIE WOJNA?

Słyszy się często zdanie, że wojny nie będzie, bo obawiają się jej rządy wszystkich państw. Znakomity uczony angielski Bertrand Russel w dziele „Wiek XIX" (przekład polski w wydaniu „Roju")) powiada na ten temat, że pijany kierowca również nie pragnie wypadku, ale ponieważ jest pijany — staje się sprawcą katastrofy.

POJĘCIE MORALNOŚCI.

W przełożonej niedawno na język polski świetnej książce Aldousa Huxley'a „Muzyka nocą" — taki oto wywód aktualny i nietylko ludów anglosaskich dotyczący:

„Słowo „niemoralny" nabrało u ludów anglosaskich szczególnego i technicznego znaczenia. Gdy powiadamy o jakimś miljonerze, że jest człowiekiem „niemoralnym", wówczas nie mamy na myśli jego sępiej drapieżności, jego chciwości, świńskiej żarłoczności, próżności i okrucieństwa; mamy na myśli wyłącznie jego zwyczaj szczypania maszynistek w pulchniejsze części ciała i zapraszanie tancerek na kolacyjki. Podobnie książką „niemoralną" jest książka zajmująca się czynami — mogą być najzupełniej dozwolone i małżeńskie — natury seksualnej. Obrazem „niemoralnym" jest nagość, niekoniecznie nawet w specyficznie miłosnej postawie; w Anglii, przynajmniej, nagość jest, mówiąc prawniczo, niemoralna, o ile jej nie ogołocono ze zbytecznego owłosienia. Cenzorzy nie wycinają nigdy z filmów strzelaniny, włamań, intratnego oszustwa i gry hazardowej; wycinają tylko pocałunki".

ZEMSTA ŻYDÓW

Stary, zgrany i już niezabawny klown dziennikarstwa polskiego wykombinował, że wojnę domową w Hiszpanii wywołali... Żydzi. Dowiedział się o tem z depesz, które doniosły, że pewna ilość Żydów uciekła z Hiszpanii. Skoro uciekli, to znaczy, że tam byli, a skoro byli, to przecież nie kto inny podminował grunt hiszpański. Skłócili Hiszpanów, rzucili ich w wir walki, poczem — uciekli.

Stary klown ogłosił tę rewelację w dzienniku, całkowicie owładniętym antyżydowską monomanją. Wizja wszechpotęgi żydowskiej, wysadzającej z posad życie społeczne całego globu, bezlitośnie prześladuje te biedne, otępiałe mózgi. Możnaby sądzić, że Żydzi w ten sposób mszczą się na swoich prześladowcach: nieprzytomny antysemityzm popada w manię prześladowczą, wszędzie upatruje działanie jakiejś apokaliptycznej bestii żydowskiej, wszędzie widzi Żyda czyhającego na zgubę rodzaju ludzkiego i wszystko wyjaśnia sobie jakimś wszechświatowym spiskiem żydowskim. W takim stanie ciężkiej psychozy i paniki traci rozum, traci poczucie rzeczywistości.

Może i w to uwierzyć, że wojnę domową w Hiszpanii wywołali Żydzi. Gdyby nie oni, lud hiszpański byłby zadowolony, że generałowie zorganizowali wojskową rebelię i przy pomocy wojsk kolorowych chcą w Hiszpanii wprowadzić krwawą dyktaturę. Bo lud hiszpański nie chce mieć praw ludzkich, nie chce żadnej wolności, nie chce żadnych reform, któreby milionowe rzesze chłopów hiszpańskich wydobyły z najkrańcowszej nędzy. Lud hiszpański jest gorąco przywiązany do swoich oprawców i tęskni do rządów, które nie dopuszczą do reformy rolnej, nie dadzą chłopu ziemi, nie pozwolą na organizowanie się klasy robotniczej w związkach zawodowych. Lud hiszpański zaznał tyle szczęścia za dawnych rządów, tyle rozkoszy w latach dyktatury Primo de Rivery, że teraz tylko marzy o dyktatorze nowym, któryby tamtego prześcignął w despotyzmie i terrorze.

I wszystko byłoby dobrze na ziemi hiszpańskiej. Byłby ład i porządek, zadowolenie powszechne, spokój w przepełnionych więzieniach i obozach koncentracyjnych. Tylko ci Żydzi! Wywołali okropną, krwawą zawieruchę, a potem uciekli...

Tak sprawę widzi i tak ją rozumie ów stary, biedny, w żałosnym już stanie znajdujący się klown. Takie ma wizje i pozwalają mu tak pisać.

Jego czytelnik, tknięty antyżydowską manią prześladowczą, bierze te przygnębiające bzdury za dobrą monetę. Będzie nawet zadowolony, że wreszcie zrozumiał, co to się właściwie stało w tej Hiszpanii. Ano tak, naturalnie, teraz wszystko jasne: Żydzi.

Bo jak się w jakiejś sprawie dojrzy Żyda, natychmiast wszystko staje się „jasne".

Zagadnienia gospodarcze naszych czasów? Jasne: Żydzi opanowali kapitał, przemysł, handel, są panami pieniądza, wyzyskują lud.

Zagadnienia społeczno-polityczne? Jasne: Żydzi chcą obalić ustrój kapitalistyczny, znieść własność prywatną, zorganizować „żydo-komunę".

Rosja sowiecka? Jasne: to zrobili Żydzi. A jeżeli teraz rozstrzeliwuje się tam Żydów, współtwórców rewolucji bolszewickiej, to dla zamydlenia oczów, że to niby Rosja sowiecka nie jest rządzona przez solidarny spisek wszechżydowski. I to też jest jasne: żydowska kombinacja.

Tak się to wszystko miesza w zamąconej świadomości ofiar manii prześladowczej. W tych ubogich i sfanatyzowanych głowach, żadna sprzeczność nie budzi zakłopotania i wątpliwości. Mogą wierzyć we wszechżydowską solidarność, wierzyć w to, że nad światem panuje wszechwładnie kapitał żydowski i że jednocześnie Żydzi dążą zgodnie do ustroju komunistycznego.

A tak wygląda rozum i logika wielu, wielu tysięcy. Wierzą starym klownom, szanują ich słowa, cenią ich nauki, idą za ich drogowskazami.

Trzeba dziś dużego wysiłku, żeby skutecznie przeciwdziałać niewiarogodnemu zamętowi pojęć, żeby ratować społeczną i polityczną przytomność, a choćby tylko elementarny rozsądek. Gdzie najskromniejszy rozsądek działa prawidłowo, tam cały obraz świata rysuje się inaczej, niż w umysłach, które zasłuchały się w głosy starych i młodych żydożerczych klownów.

O D G Ł O S Y

PIÓRO UCZONEGO I SZYDŁO Z WORKA

Prof. Tadeusz Zieliński żąda od polskich naukowców, aby stronili od polityki i oświadcza w swoich wynurzeniach, umieszczonych w *Gazecie Polskiej:* „Gdyby ode mnie zależało zabroniłbym wszystkim przedstawicielom nauki od najskromniejszej do najwyższej, to znaczy, wszystkim uczącym w szkołach powszechnych, średnich i wyższych, wszelkiego czynnego udziału w polityce". Sędziwy znawca antycznego świata mówi dalej pogodnie, jakby z katedry, że naukowcy nie nadają się do działalności politycznej, a widocznie spodziewając się, że jego dowodzenie jest nie dość przekonywające, zastrzega dobrotliwie dla siebie, aby koledzy — profesorowie za to, co mówi, nie mieli do niego „zbytnich pretensji i żeby przeczytali z uśmiechem pobłażliwym".

Dalej jednak znika stopniowo pogodny wyraz z oblicza sędziwego filologa i w oczach zamiast zadumy myśliciela dostrzec można błyski złośliwości, zgoła nie licujące z wzniosłością uczonego, zaś w dłoni jego zamiast pióra naukowca ukazuje się naraz ostre szydło, które wylazło z grubego worka politycznego. Prof. Zieliński, który tak swobodnie obraca się wśród labiryntów starożytnego świata i wśród wielkiej galerii nieśmiertelnych myślicieli, twórców, poetów, mężów stanu i wodzów, nie zdołał w teraźniejszości nikogo więcej dostrzec wśród polskich profesorów, uprawiających politykę, oprócz *jednego* wolnomyśliciela i to aż w Poznaniu.

Hej, profesorze Henryku, musisz być na miarę Fidjasza, skoro cię zauważył w tłumie i jednego wyróżnił autor „Grecji Antycznej". Przecież nie jesteś ani wodzem stronnictwa politycznego, ani posłem na Sejm, ani vice-marszałkiem, ani senatorem, tylko „nieuznanym" profesorem-slawistą, o którym dobrotliwie, po koleżeńsku i na pocieszenie czytelników mówi prof. Zieliński, że nieborak „ma tylko kilkunastu słuchaczy, najwyżej kilkudziesięciu, pragnie więc, by go słuchały rzesze; stąd jest dezercja do obozu polityków". Wolnomyśliciel-slawista ma być „człowiekiem nerwowym, który z tego, co gdzieś wyczytał, wnioskuje, że duchowieństwo pragnęłoby go spalić na stosie na placu Wolności". Tracąc wreszcie równowagę i popadając w gniew, prof. Zieliński zakłada groźny protest „przeciw nadużywaniu tytułu profesorskiego, który przecież od nas otrzymał". Więc, profesorze Henryku: „albo wiec, albo katedra".

Jakże tu nie podziwiać objektywizmu uczonego, który zadowolił się jednym „mało" słuchanym profesorem-slawistą, nie dojrzawszy wcale wpływowych profesorów - polityków, zajmujących w różnych partiach i klubach czołowe stanowiska i pozostających w łaskach możnych tego świata. A zresztą, jeżeli chodzi o purytanizm polityczny, to czy trzeba przypominać, że sprowadzenie przez prof. Zielińskiego Goebbelsa do Warszawy w celach propagandowych posiadało znamiona wybitnie polityczne, jak również nie mniejsze miał objazd odczytowy tego polskiego uczonego po hitlerowskich Niemczech? Stąd morał w tym sposobie: jeżeli nie wolno nadużywać tytułu profesorskiego dla namiętności politycznych, to nie wolno nikomu, a zatem i profesorowi Zielińskiemu. *Fiat justitia!* *Józef Węgliński.*

ZAŚNIEDZIALI KUSTOSZE WYCHOWANIA

Na progu nowego roku szkolnego osoba nauczyciela staje się znów przedmiotem żywej uwagi powszechnej, wszelkiego wartościowania zarówno pod względem moralnym, jak i politycznym. Wzmaga się również prowadzona celowo naganka przeciwko postępowym żywiołom nauczycielstwa polskiego i jego organizacji zawodowej. Nawet dla niewtajemniczonych staje się już jasne i wyraźne, że chodzi tu o moralne steroryzowanie i ujarzmienie nauczyciela i o uczynienie zeń przysięgłego zaklinacza pojęć, haseł i wierzeń wojującej reakcji.

Z pokaźnej serii ostatnich wystąpień prasowych przeciwko postępowemu nauczycielstwu, wyróżnia się najbardziej, tyleż powierzchownością sądu, co i faryzeuszowskim ujmowaniem rzeczy, wstępny artykuł konserwatywnego *Czasu*, utrzymany na poziomie i godny w tonie *Ilustrowanego Kurjera Codziennego*. Nie naszą tutaj jest rzeczą odpierać czy prostować wszystkie żałosne, nałogowo powtarzane zarzuty pod adresem Związku Nauczycielstwa Polskiego, trzeba jednakże zwrócić uwagę na parę szczegółów niewyszukanego rozumowania *Czasu* w artykule p. t. „Posłannictwo nauczycieli i warunki ich pracy". Szeroko rozwodząc się o „tyranii" Z. N. P., o jego „wszechwładztwie", autor oświadcza, że „w tych warunkach do armii nauczycielskiej musiało się dostać wiele jednostek, którzy byli (chyba które były) propagatorami bezbożnictwa i wszelkiego radykalizmu".

Nie jest rzeczą przypadku że te słowa, brzmiące jak groźna anatema, rozlegają się w *Czasie*, organie dawnych stańczyków, a powtórzone za pobratym-

czym *I. K. C.* z krakowskiego bruku. Wprawne ucho rozróżni tutaj przytłumione dalekie odgłosy dobrych austriackich czasów, kiedy to w szkołach galicyjskich dokonywał się planowy dobór nauczycieli, przystosowanych duchowo do wymagań i potrzeb rządzącej wtedy warstwy ugodowych możnowładców. Młodzi nauczyciele, którzy ujawniali jakieś dążenia niezależne, próbowali wcielać w życie jakieś wychowawczo-reformatorskie ideały, pragnęli zbliżyć się do młodzieży i moralnie z nią zespolić, podlegali niezliczonym szykanom władzy szkolnej, która zmuszała ich do ujęcia i zastosowania się do policyjno-biurokratycznego szablonu, albo też do opuszczenia służby. Nie trzeba dodawać, że największym uznaniem i wziętością cieszyli się ci nauczyciele, którzy najlepiej przystosowali się do pojęć, wymagań, potrzeb, przesądów tych warstw rządzących, które decydowały o materialnem istnieniu człowieka.

Rozwodząc się o przemożnych wpływach zrzeszonego nauczycielstwa, które roztaczało „,czujną opiekę, a ściślej mówiąc kontrolę" nad postępowaniem swych kolegów, autor epistoły w *Czasie* gorzko ubolewa, że w tych warunkach „na plan pierwszy zostały siłą rzeczy wysunięte jednostki o nader wątpliwych kwalifikacjach moralnych". Pomijając już pytanie, skąd ten rzecznik pasożytującej warstwy czerpie tytuł do wygłaszania takiej opinii, trzeba stwierdzić, poza nieodpowiedzialnością moralną za głoszone inwektywy, rzecz jeszcze bardziej ryzykowną: bo oto ci właśnie ludzie o „wątpliwych kwalifikacjach moralnych" posiadali — według słów samozwańczego oskarżyciela — „przemożne wpływy w Ministerstwie, a zwłaszcza w kuratoriach". Jakież więc świadectwo moralne wystawia się tutaj najwyższym władzom szkolnym, które ulegały bezkrytycznie takim właśnie przemożnym wpływom?

Ale po tem wszystkiem rozjaśnia się oblicze napastnika na myśl, że „smutna rola, jaką Z. N. P. dotychczas odgrywał w dziedzinie szkolnictwa, ma się, zdaje się, ku końcowi".

Podżegacze z *I. K. C.* i z *Czasu* pragnęliby usunąć za wszelką cenę i wszelkimi sposobami groźną dla nich *moralną* siłę nauczycielstwa i rozbić jej potężne ognisko w postaci związku zawodowego, licząc na to, że gdyby takie dalekosiężne zakusy się udały, łatwiej byłoby sobie poradzić z każdym oddzielnie nauczycielem, rozbrojonym organizacyjnie.

Oto jest istotna treść całej kampanii, nie mającej nic wspólnego z poważną troską ani o losy oświaty ani o posłannictwo wychowawcze.

W SŁUŻBIE FAŁSZYWEGO DELATORSTWA

Ostatnio zaatakował nas *Warszawski Dziennik Narodowy* za artykuł, w którym wyraziliśmy swój pogląd na istotę i genezę dziejową tragedii hiszpańskiej. Nie zamierzamy bynajmniej rzucać tutaj grochu o ścianę i przekonywać organ endecji, że żaden człowiek, miłujący wolność swego kraju i szanujący prawdziwie cudzą wolność nie może stanąć dziś po stronie uzurpatorów, walczących przeciw własnej ojczyźnie przy pomocy wojsk kolorowych. Zwłaszcza trudno o to się spierać z endecją, która bez pamięci rzuciła się już w objęcia faszyzmu. Tylko jedno zastanawia w tym nowym revivalu: zlekceważenie własnych haseł „praworządności", którymi szermowano w ciągu kilku lat i entuzjazm dla rebelii hiszpańskiej.

Poddając się niewolniczo urokowi faszyzmu i nałogowo naśladując swego faszystowskiego mentora, „Warszawski Dziennik Narodowy" wyrokuje, że „masoni polscy nienawidzą narodowej i katolickiej Hiszpanii" i „występują u nas jako awangarda Sowietów".

Warunkiem faszystowskiego pojmowania i sądzenia rzeczy jest zaciemnianie pewnych stron życia i celowe nieodróżnianie najrozmaitszych obozów ideologicznych, komunistów od liberałów, radykałów od ludowców, socjalistów od masonów i t. d. Polscy wolontariusze faszyzmu wzorują się i tutaj na urzędowych włoskich trybunałach specjalnych, które dla uproszczenia swoich czynności wszystkich przeciwników faszyzmu zgóry kwalifikują, jako komunistów i już z spokojnym sumieniem skazują ich na długoletnie więzienie.

O takiem nadużyciu sądów faszystowskich szczegółowo pisze znany mąż stanu i patriota włoski, hrabia Sforza *) którego nawet „Warszawski Dziennik Narodowy" nie zaliczy chyba do „awangardzistów". Wśród wielu jaskrawych przykładów sądowego bestialstwa faszystowskiego, hrabia Sforza podaje nawet wypadki wtrącenia do lochów paru wybitnych prawicowych pisarzy: Maria Vinciguerra, twórcy oryginalnych dzieł z historii literatury włoskiej i angielskiej, jednego z „najbardziej — jak mówi autor — nieskazitelnych i prawych ludzi, jakich w życiu spotkałem" i Renzo Rendi, korespondenta literackiego pism amerykańskich. Otóż zbrodnia ich polegała na tem, że we Włoszech „w państwie urzędowo monarchistycznym oskarżeni radzili antyfaszystom zachowanie lojalności wobec tronu", i za to właśnie zostali przez Trybunał do spraw szczególnej wagi skazani jako komuniści na piętnaście lat więzienia. Hr. Sforza określa tę rzecz bardzo krótko: „W języku faszystowskim wyraz „komunista" oznacza najczęściej wszystkich przeciwników faszyzmu".

Nasi faszyści, zadzierając nosa, również wszędzie węszą komunistów na wzór hitlerowski i włoski. Jest to pewna metoda moralnego teroryzowania ludzi chwiejnych lub małodusznych, panicznie obawiających się piętna komunizmu, zwłaszcza, że wchodzić u nas zaczyna w obyczaj publiczne i fałszywe denuncjowanie osób, pism i instytucji społecznych.

Epoka nie próbuje usprawiedliwiać krwawej przemocy, bez względu na to, gdzie i kto ją stosuje, ani też nie pada plackiem przed żadnym ołtarzem bożków samowładztwa i dyktatury, jak to np. czyni z pokorą i uwielbieniem endecja hitlerowska. Potępiając krwawą zawieruchę, rozpętaną przez faszystów w Hiszpanii, w tym samym numerze „Epoki" potępiliśmy równie stanowczo krwawą masakrę moskiewską: tylko takie stanowisko pozostaje w zgodzie z duchową kulturą ludzi wolnych i nie obraża tradycji polskiej wolności. Kto rzekomo z poczucia człowieczeństwa oburza się na krwawą rozprawę moskiewską, przemilczając jednocześnie ponurą, widmową praktykę faszystowską i hitlerowską, ten lepiej niech nie feruje wyroków moralnych, bo od takiego trybunału cała Polska myśląca odwrócić się musi z pogardliwym uśmiechem.

---

*) Comte Sforza: Dictateurs et dictatures. Paris. Librairie Gallimard.

NIE CHOWAJMY ŚWIATŁA... ZA KRATĄ

BREWIAŻ CNOTY CZY OGRÓDEK PRIAPA?

Odkąd za p. Adamem Doboszyńskim zamknęły się drzwi więzienia śledczego, kładąc kres jego „myślenickiej przygodzie", można było oczekiwać, że z diagnozą jego zdrożnego czynu oraz czynu tego pobudek wstrzymają się wszyscy do momentu rozprawy sądowej i wyroku, który właściwy trybunał państwowy, po rozpoznaniu winy podsądnego, wyda.

Aliści stało się inaczej.

Prasa endecka, której podsądny gorliwym był czytelnikiem i współpracownikiem zapalonym, miast milczeniem uszanować tragizm, tający się na dnie każdego starcia jednostki z wolą zbiorowości, wcieloną w kodeks karny, rozpętała wokół „bohatera Myślenic" dziką orgię wrzawy, zgiełku i agitacji, zmierzającej do jadowitego zatrucia opinii. „Warszawski Dziennik Narodowy" — główny organ starej Niewiadomszczyzny — pasuje sprawcę napadu na rycerza wysokiej zasługi, „Goniec" — endecki wyrostek robaczkowy — troskliwie karmi czytelników swych biuletynami lekarskimi o zmianach, jakie zachodzą w szacownym zdrowiu i samopoczuciu aresztanta, a głośny młodo-endecki puzon — tygodnik „Prosto z Mostu" dowodzi, powołując się na św. Tomasza z Akwinu, że nie karać należy mężów takich, jak Doboszyński, ale wmyślać się w ich czyny i studiować ich książki.

Ponieważ „Epoka" skupia umysły, które nie gardzą żadnym argumentem, odwołującym się do książek, przeto zadaliśmy sobie trud sumiennego przewertowania jednego z dzieł p. Adama Doboszyńskiego, a mianowicie jego autobiograficznej powieści p. n. „Słowo ciężarne", wydanej nakładem M. Steinsberga. Postanowiliśmy plonem tej lektury podzielić się z publicznością. Skoro mamy w literaturze endeckiej perły, nie chowajmy ich światła pod korcem, a raczej... za kratą.

Plon jest istotnie obfity. A jakkolwiek zebrany z jednej tylko książki (zawierającej 298 stron), daje, naszym zdaniem, imponujący materiał do charakterystyki autora. Materiał ów jednak nie ma nic wspólnego z tym, co agitacja endecka reklamuje w swoim „Bohaterze". Nie rycerz krzyżowy, walczący o palmy ewangeliczne, ale łowca uciech, polujący na „dziewczynki", staje przed nami w swoim „Słowie ciężarnym". Nie apostoł św. Tomasza, nie komentator ojców kościoła, ale pogański wyznawca Priapa, który na świat cały patrzy, jak na ogrójec rozigranych zmysłów. Nie szumy chorągwiane, ale chrzęst spódnicy kobiecej króluje w tej lubieżnej wyobraźni, ciężarnej nie „brzemieniem niebieskim", ale pospolitą nostalgią zamtuzów. Z filozofii średniowiecza zachował on jedno tylko wspomnienie: prawo feudalne do dziewiczej nocy. Jeśli szał erotomana uśmierza się na chwilę w tym opętańcu płci, to tylko po to, aby ustąpić atakowi megalomanii, rojącej na tapczanie rozpusty o wybrykach i gwałtach samowładcy. Wieniec Nerona położony na główce Fallusa: oto synteza „ciężarnych" snów tego wybrańca endecji, wybrańca — a może właściwiej rzecby należało: ofiary, ofiary jej niedorzecznych idei i obłędnych haseł.

Ale nie chcemy uprzedzać opinii. Opiniujcie Wy, Czytelnicy!

My z dzieła, zaleconego przez rzeczoznawców endeckich, wybraliśmy tylko cytaty, które dajemy poniżej.

LOKALIZACJA IDEAŁU: WŁOSY POD NASADĄ RAMIENIA

„...Witek czuł, jak wzbiera w nim lekkie drżenie... Ona leżała cicho, chłodna i zamyślona. Z drugiej strony kołdry stykały się ich stopy. W pewnej chwili wysunęła ramię z pod jego głowy i splotła ręce na czole. Witek wtulił usta pod nasadę ramienia i muskał czarne skręcone włosy. Z prośbą w oczach patrzała na niego z wysokości poduszki. Cicho, ledwie dosłyszalnie prosiły wargi nabrzmiałe od jego ukąszeń, spieczone i obolałe. Żeby mówił dalej. Żeby się jej wyraźniej rysował w sercu, kiedy tęskni za nim.

CHRZĘST PRZEMOCZONEJ SPÓDNICY

„Z za czarnej szopy coś szło. Witek odczuł głąboką rozkosz faktu, że jest żołnierzem. Nie potrzebował myśleć, bo regulamin przewidział ten wypadek i myślał za niego. Wiedział, co zrobić, gdy to coś się zbliży. Zdjął karabin z ramienia, leniwie obrócił głowę i w świetle latarni ujrzał nadchodzącą kobietę, czy dziewczynę. Gdy się zbliżyła, posłyszał chrzęst przemoczonej spódnicy. Zadźwięczało mu to mile w uchu. Nie odezwał się. Zbliska zobaczył jej rysy. Uśmiechnęła się do niego. Była odziana, jak zwykle robotnica, w byle co, w chustkę. Podsunęła się. Błysnęły białe zęby. Witkowi zaczęło serce bić młotem, przypomniał sobie, że podobno zaczyna się od ust. Ale ona oburącz podniosła spódnicę. Gdy się zetknęli, ugryzła go w wargę. Wtedy coś się w nim rozpętało. Męskość przeszła przez niego jak huragan, zmęczenie wykrzesało energję rodczą. Rozglądnął się. Wszędzie dokoła błyszczały kałuże. Oparł ją o słup sygnału, pod którym wartował. Zmięszały się ich oddechy, cicho dźwięczał słup. Wżarł się w nią, jak we wroga i walczył do utraty tchu. Obok nich z hukiem przeleciał pociąg. Nagle wszystko przeszło. Ona spuściła spódnicę i odeszła. Witek przez chwilę jeszcze dyszał ciężko. Zdaleka, zza mgły doszedł go głos następnego wartownika, potem krótki, chrapliwy, podrażniony wybuch śmiechu kobiety..."

A DZIEWCZYNKI TO — SAM SMAK

„W tym czasie nauczył się Witek chodzić na dziewczynki. Praktykę odbywał w towarzystwie kolegów specjalistów. Szło się we dwóch, albo trzech. Samemu trudno, bo dziewczynki mają brzydki zwyczaj, że nie chodzą nigdy pojedyńczo, chyba za dnia z jakim interesem. Koledzy pouczyli Witka, że gdy kobieta idzie sama, to napewno „skrajna" k.... Taka też nie jest czasem do pogardzenia, ale nie należy już do kategorii dziewczynek. A dziewczynki to — sam smak..."

DOGMAT WIELKIEGO MIASTA

„...w tem cały urok chodzenia na dziewczynki, że minie się sto, a zaczepi sto pierwszą. Dlaczego ta, a nie inna, niewiadomo. Działa tu potężne prawo przypadku, dogmat wielkiego miasta".

SZWACZKI I STENOTYPISTKI

„Otwierają się poddasza i suteryny, sklepy i fabryki, pracownie i biura, kuchnie i pralnie. Zewsząd w ładny majowy wieczór wynurzają się dziewczynki. Modniarki i manikurzystki, sprzedawaczki gazet i kwiatów, panny sklepowe, szwaczki i stenotypistki, córki szewców i masarzy, stróży, robotników, dorożkarzy, listonoszów. Nie widzą nic, nie umieją nic, nie myślą o niczem. A jednak są miłe i przytulne... Możesz sobie dobrać na jaką masz ochotę, ale trzeba się znać. A to sztuka niebylejaka".

Z TYM BYWA GORZEJ

„Powoli młody student uczy się klasyfikować. Taka z twarzą niewiniątka, którą każdy może mieć, i niewiniątko z twarzą prostytutki. Te, któreby cię chciały, a ty ich nie chcesz, i te które lecą na pieniądze. Albo przynajmniej musisz im coś zafundować, lody lub kino. Z tym bywa gorzej..."

TRZEBA TYLKO UMIEĆ I CHCIEĆ

„Choć właściwie to jest sposób na wszystko. Trzeba tylko umieć i chcieć. Dziewczynka się może drożyć i robić wstręty, ale musi ulec, bo taki jej los".

PRZEZNACZENIE DZIEWCZYNEK

„Zresztą każda dziewczynka wie o swojem przeznaczeniu. Student jest dla niej oknem otwartym na szeroki świat, może kiedyś zostać dyrektorem albo prezydentem. Jej ojciec takim posługuje, a ona z nimi chodzi. To podnieca i daje chwile miłego wzruszenia. Cóż dopiero, jak się trafi chłopiec przystojny i urodziwy. Biada dziewczynce, na którą trafi".

POKOCHAJĄ SIĘ... PRZECHORUJĄ...

„Jeśli jest ładna, idzie drogą, którą poszło przed nią tyle innych. Ale większość nie daje się zbałamucić. Pokochają się z jednym albo drugim. Trochę się przechorują, akuszerka coś nie coś zarobi".

JUS PRIMAE NOCTIS

„...Wtedy przychodzi czas na zamążpójście. Dwiema taksówkami jedzie do kościoła pan monter, albo pan konduktor, dwiema taksówkami wraca. Gdy się spiją on i jego goście, zdarzy się czasem małe mordobicie. Już trzy miesiące temu przekonał się, że nie bierze panny, więc i teraz mu nie dziwno. Cieszy się tylko, że za poprzednika miał studenta. Bo przecież w społeczeństwie porządek musi być, a świętym przywilejem jest prawo studenta do dziewiczej nocy".

ZNOWU DZIEWCZYNKI

„...Wiedzą to dziewczynki i nie opierają się temu, co je czeka. I uśmiechają się bezwiednie, kiedy koło nich przechodzi student, w piękny bezkresny wieczór usiany gwiazdami, gdy gwar wielkiego miasta, przyciszony i tajemniczy, śpiewa im na swój sposób pieśń przeznaczenia".

NIE PŁOSZYĆ ZWIERZYNY!

„Uwodził ją ostrożnie, wedle zasad sztuki, nie chcąc spłoszyć zwierzyny na minutę przed strzałem. Igrał dwuznacznem słowem, podniecał zlekka, by się cofnąć w ukłonie pełnym szacunku, pieścił głosem drżącym od pożądania, wreszcie wszedł jej w krew..."

GDY ZAWIODĄ ŚRODKI OSTROŻNOŚCI

— Będziemy mieli synka.

— A widzisz, mówiłem ci, że twoje środki (ochronne) nie są takie murowane.

— Kiedy ja chciałam.

Położyła się na wznak i oparła mu głowę na kolanach.

— Już dawno myślałam o tem, ale nie śmiałam ci powiedzieć. Zastanawiałam się długo bardzo. To nie tak łatwo się zdecydować. Pomyśl, jak to będzie bolało..."

ROMANS ENDEKA Z ŻYDÓWKĄ

— Tylu mam znajomych, a ty jeden musisz mi zawsze na każdym kroku wypominać, że jestem żydówką. Dla innych te różnice wogóle nie istnieją.

— To jest właśnie Judeopolska.

— Kto?

— Ano, ci twoi znajomi.

— To nasz synek będzie Judeopolak.

— Młody Rubinstein.

— Jakaś mięszanina Einsteina z Paderewskim.

— Względny Polak.

— Śmieszny jesteś z tym swoim nacjonalizmem.

— A ty co? Na każdą chrześcijankę spoglądasz (jako żydówka) zgóry.

— Nie na każdą. Ale mało jest udanych. Przyznasz sam, że żydówki to wyższa klasa.

— Ty wogóle uważasz, że żydzi to są nadludzie.

— Nudny jesteś. Pocałuj mnie".

TRZEBA JEJ ZROBIĆ DZIECKO

„Jeśli się rozhuśta kobietę do ostateczności, to trzeba jej zrobić dziecko, bo będzie chodzić w krzaki z kim innym. Rozrajcował pan masę, trzeba być konsekwentnym..."

WŁASNOŚCI EROTYCZNE

„Głos Witka słuchany przez radio nabierał zagadkowych własności erotycznych, podniecał krew do żywszego krążenia".

W POSZUKIWANIU GŁĘBSZYCH WRAŻEŃ

„Wsadź mi pan nos do d... — rzekł Puzia.

Z KIM JESZCZE MOŻNA MIEĆ STOSUNEK?

— Kocha się pan?

— Kochałem się.

— W kim.

— Widzę, że pani jest niedyskretna. W masie.

— Jakto w masie?

— Ano w tych masach, z którymi flirtuję przez mikrofon. Widzi pani, można tak samo mieć stosunek z masą, jak i z kobietą".

BISMARCK I NAPOLEON

— Słuchaj Witku. Ja wiem, że ty jesteś niezwykły... Ty będziesz kiedyś wielkim człowiekiem. Jakiś polski Bismarck czy Napoleon...

NARÓD W UPRZĘŻY

„Naród prężył muskuły, jak koń, który się zastoi w stajni, radosny, że mu nakładają uprząż. Czuło się w powietrzu ochotę do pracy. Cały kraj czekał na hasło z góry, by ruszyć z kopyta".

SATYRIASIS ACUTA

„Wyczarował masie przed oczy upojny zawrót głowy gromadnego wysiłku, pracy dla pracy, której owoców nie widzi się w dniu wypłaty, ale czuje się w zbiorowym zadowoleniu stada, które przegalopowało po pastwisku... Po raz pierwszy wyczuł, że Olena i masa kojarzą się w jego wyobraźni, miał wrażenie, że są z tej samej gliny i razem mu się oprą albo ulegną".

ADAM, EWA I JABŁKA

— Boję się opowiadać przy pani, bo to było wtedy, kiedy traciłem niewinność.

— Pani pozwala.

— To było tak. Idę, panie, Marszałkowską na wykład na polibudę, słońce zachodzi, nagle patrzę — sunie jakaś dziewczynka. Aż mnie zatchnęło, taka bestyjka sympatyczna. Nóżki — tego — miód, pod kapotką granatową rysuje się to i owo, jak powiada wieszcz. Myślę sobie — Puziu, tybyś zgryzł, co? Znam cię, bracie. Cnota mi ciążyła, więc myślę odrazu — okazja. Walę za nią. Ona zwalnia, ja zwalniam. Ona idzie, ja idę. Skręca w Aleje Jerozolimskie, ja za nią. Ogląda się raz, ja nic, uśmiechnąłem się, ona także. Przechodzi przez ulicę, nawet policjant do niej zęby szczerzy. Na rogu Nowego Światu podchodzi do niej jakiś gość, widocznie znajomy w poplamionym kapeluszu. Idą razem, ja za nimi. Koło Ordynackiej on się odwala, ona się ogląda na mnie, ja nic. Wreszcie przystaje przed jakimś sklepem, więc staję koło niej i mówię — jaki ładny wieczór. Ona mówi — właśnie. — Zaczynam jej klarować, że się w niej zakochałem od pierwszego wejrzenia. Ona mówi, że ona też. Serce zaczyna mi walić, jak młotem, ale ona powiada: możebyśmy przedtem co zjedli. — Ja mówię — owszem. Miałem trochę pieniędzy, więc zaszliśmy do jakiejś cukierni, mówię państwu, jak zaczęła jeść, to mnie samemu zaimponowała... Myślę sobie, chwała Bogu, jak się dobrze naje, to będzie miała większy temperament.

— To niebezpieczne... Czasem skutki bywają odwrotne.

— Biorę ją do siebie na budę. Ona mówi: jakie masz pyszne jabłka. — Rzeczywiście leżały na półce, bo mi przysłali z domu. Powiada: połóż je tu koło łóżka, zjemy potem. — A mnie dusi za gardło, taki jestem przejęty jak niewiem co, bo to pierwszy raz, to się człowiek gorączkuje....

Puzio westchnął.

— Co nastąpiło, tego nie umiem słowami wyrazić. Trochę mi brakło doświadczenia, lecz zamknąłem oczy, i jakoś to poszło. Wydawała okrzyki zachwytu, jęki i westchnienia, zdawało mi się, że nasze upojenie nie ma granic. Naraz słyszę, że zamilkła na chwilę, trochę mnie to zaniepokoiło, otwieram oczy, i co państwo przypuszczacie, że robiła ta bestja?

— Pogryzała jabłka — rzekł Witek.

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

HISTORJA Z NIEPRAWDZIWEGO ZDARZENIA

Tym historykiem jest p. Juljan K. Malicki, autor książki p. t. „Marszałek Piłsudski a Sejm".*) Jest to dziennikarska kronika wypadków politycznych w Polsce od jesieni 1918 r. i gdyby autor ograniczył się do chronologicznego zestawienia faktów i dokumentów, jego praca mogłaby nawet być wygodnym podręcznikiem.

Ale ambicje p. Malickiego wybiegły daleko, daleko po za skromne jego możliwości. Sam panegiryzm w stosunku do osoby Marszałka Piłsudskiego i sama nienawiść do endeków nie czynią jeszcze z reportera — historyka.

Pojmowanie przez p. Malickiego swej roli jako bezstronnego dziejopisarza, jego krytycyzm wobec źródeł, jego zdolność oceny wagi wypadków i znaczenia osób wystarczy prześwietlić na jednym przykładzie.

W październiku 1929 r. na tle zebrania się w przedsionku sejmowym większej liczby oficerów— wynikł głośny zatarg między Marszałkiem Sejmu Daszyńskim a Marszałkiem Piłsudskim. Okazuje się, że p. Malicki — dzisiejszy historyk — wówczas, w październiku 1929 roku był reporterem „Kurjera Czerwonego" i w tym charakterze nazajutrz po incydencie z oficerami myszkował w Sejmie, węsząc ploteczki i przeprowadzając na miejscu gawędy i wywiady nawet ze strażnikami sejmowymi z przedsionka.

Z tych gawęd, p. Malicki spreparował kilka reportaży do „Kurjera Czerwonego", którego czytelnicy bardzo sobie cenią smakowite kąski.

Dotąd wszystko w porządku — to jego chleb.

Ale po siedmiu latach p. Malicki z reportera przeistacza się w historiozofa ze znakomitej szkoły historycznej „czerwoniaków", pisze „dzieło" o Marszałku Piłsudskim i w „dziele" tym zajście z oficerami przedstawia według artykulików, jakie przed 7 laty nasmarował na kolanie do swego pisma.

„Historyk" Juljan K. Malicki przedrukowuje poprostu w książce wywiady ze strażnikami marszałkowskimi, jakie miał reporter Juljan H. Malicki; „historyk" Malicki pisze o reporterze Malickim, czyli sam o sobie „wytrawny publicysta - dziennikarz", przytacza w książce fotograficzne odbitki swych wiekopomnych artykułów w „Kurjerze Czerwonym", w obawie, że mogłyby zaginąć dla potomności, z wrodzoną skromnością nazywa swój wywiad prasowy ze strażnikiem „historycznym wywiadem" i w tym tonie utrzymuje się do końca.

To się dopiero nazywa robić historię!

Dalej pan „historyk" Malicki w dziele o Marszałku Piłsudskim znajduje miejsce, aż na kilkanaście stronnic druku dla b. komendanta straży marszałkowskiej w Sejmie, dyscyplinarnie ukaranego za szereg nadużyć finansowych. Zatajając wiele rzeczy, a tendencyjnie przeinaczając fakty, p. Malicki przedstawia skazanego jako męczennika prawdy, kryształowego ideowca, zasłużonego podczas przewrotu majowego w Warszawie, herolda wskazań Marszałka Piłsudskiego i niewinną ofiarę zemsty politycznej ówczesnych gospodarzy Sejmu. Nazywa go poprostu bohaterem, a jego sprawy „polską dreyfusjadą", z czego wniosek, że sam pretenduje do roli „polskiego Zoli". A co za styl, co za patos bombastyczny! Poczucie taktu, proporcji, zwykłej przyzwoitości wreszcie, niestety, nie przeszkodziło p. Malickiemu w książce o Piłsudskim na przestrzeni kilkunastu stron zajmować się nieciekawą figurą b. komendanta straży, umieszczać w książce jego fotografje narówni z podobiznami Marszałka, a własnych pikatnych reportaży podnosić do rzędu historycznych aktów i udawać samemu śmiałego rewelatora, który przyszłym pokoleniom odsłania prawdę. A prawda ta tak wygląda, że ledwo się książka ukazała, pan historyk już musiał od kogoś oberwać po palcach, bo w „Expresie Porannym" z dn. 11 sierpnia pośpiesznie odwołuje, że materiały na których się oparł okazały się jednostronne i niekompletne, że „gwoli ścisłości historycznej chętnie daje wyraz prawdzie i nadmienia, że przy wydaniu drugiego nakładu książki powołany epizod znajdzie należyte oświetlenie".

W tym sprostowaniu najgroźniejsza jest zapowiedź drugiego nakładu tej książki.

Strachy na Lachy! Dość wstydu z pierwszym.

Wstyd duży, ale nie jedyny. Jest jeszcze drugi. Książkę poprzedza przedmowa. Czytamy w niej, że „„dzieło młodego historyka p. t. „Marszałek Piłsudski a Sejm" ...doskonale spełnia rolę reflektora, rzucającego jasny promień światła na potężne przyczynowe ogniwo twórczości w dziejach Odrodzonej Rzeczypospolitej" ...że „dzieło Juljana Malickiego to oddźwięk historyczny dzwonu Królewskiego Zygmunta, bijącego z łomotem serc polskich"...

Dalej p. Malicki jest tam porównany z Thiersem, z Carlylem, z Szajnochą, którego jednak „przewyższa mocarnie zarysowanem olbrzymiem zadaniem wchłoniętem przez jeden wymiar myśli i serca polskiego". Wprawdzie nie rozumiem co to znaczy, ale czuję z tych groźnych słów, że Szajnocha to szczeniak i że powinien terminować u Malickiego. Przedmowa ta, co drugie słowo, aż się zachłystuje nieprzytomnemi superlatywami pod adresem p. Malickiego, bez poczucia miary, dystansu i śmieszności! Wreszcie szczytowy punkt przedmowy, cacko intelektualne: „Amplitudą wahań dla każdego historyka staje się często zbyt przemyślne układanie pożółkłych zwojów pergaminowych, w następstwie czego cień i zapach zwilgłych liści laurowych gmatwa obraz i jego prawdziwe kontury, podczas, gdy Juljan Malicki w dziele swem... i t. d."

Co to znaczy? To nic nie znaczy, to poprostu nie ma sensu.

A teraz największa rewelacja: pod tą przedmową widnieje podpis — Antoni Bogucki, b. Wicemarszałek Senatu R. P.

Nie wierzę, aby ten stek nonsensów wyszedł z pod pióra p. Boguckiego. Przedmowę tę pisać musiał ktoś inny, ktoś bliski p. Malickiemu, tak bardzo bliski, że aż operuje temi samemi wyświechtanemi frazesami co on, np.:

„...układanie pożółkłych zwojów pergaminowych", czytamy w przedmowie, rzekomo pióra

---

*) *Juljan K. Malicki:* Marszałek Piłsudski a Sejm. Historja rozwoju parlamentu polskiego 1919 — 1936, z przedmową Antoniego Boguckiego, b. Wicemarszałka Senatu R. P., pod egidą Komisji Kulturalno - Oświatowej P. O. W. Skład główny Dom Książki Polskiej Sp. Akc., Warszawa 1936.

p. Boguckiego, „wśród zakurzonych i zapomnianych zwojów pożółkłych pergaminów", pisze we wstępie, tym razem już od siebie p. Malicki.

Dziwna zbieżność!

Skłonny więc jestem przypuszczać, że podpis p. Boguckiego pod tą przedmową jest jakiemś fatalnem nieporozumieniem...

W sprawozdaniu z tej Olimpjady bzdury wymienić trzeba i trzeciego zawodnika — Kierownictwo Komisji Kulturalno - Oświatowej P. O. W., pod której egidą rzecz się ukazała.

Zamyka się tę książkę z uczuciem upokorzenia. Jeszcze jeden przykład bezkarnego żerowania na imieniu Marszałka Piłsudskiego i bezkarnego szafowania groszem publicznym.

St. Czosnowski.

POWIEŚĆ NA INNĄ NUTĘ *)

Sprawę Adama Grywałda, pomieszczoną w rozważaniach, ciekawości i współczuciu otoczenia, czy też „towarzystwa", z którem przystaje, zaznajamiamy się przez zestawianie relacyj. Mówi się o tej nieszczęśliwej miłości szeptem, wybucha niekiedy gniewem, oskarża Grywałda, nie ufa się mu w retrospekcji, opatula jego samego aurą kliniczną. Niema oczywiście między Grywałdem a otoczeniem takich kontrastów pojęciowych i obyczajowych, jak między „Idjotą" Dostojewskiego i tamtejszą wielorako ujętą inteligencką społecznością rosyjską, ale napotykamy i tu, w tej bardzo interesującej i bardzo europejskiej powieści, owe psychologiczne konflikty, skłonne do wynaturzeń.

Powieść o namiętności przeobraża się zwolna w „pejzaż środowiska", w ensemblową rewię. Akcja, zdawałoby się, niepokaźna, a nawet wstydliwa, ujawnia jednak swoją drapieżną zachłanność. Ludzie ci jakgdyby ciągle zajęci są wiązaniem fabuły swojego życia w jakąś wspólnotę interesów. Wbrew karykaturze, w jaką ich ujął autor, garną się do siebie w sposób wzruszający. Ich uczuciowość jest bezinteresowna, zgodliwa, bodajże tradycyjna. Ich dziwactwa natomiast są utajonym protestem przeciw wygładzonej schematyczności form obyczajowych.

Dekadencja Hozjuszów i Mossów zapowiada zatem renowację sił żywotnych poprzez przeobrażenia psychiczne, dokonywane jeszcze z taką energią, że nie brak im dramatycznych powikłań. Z rozmów, gestów, nastrojów, które autor z takim artyzmem tonuje i naświetla, wyłaniają się te zagadnienia, nie pozbawione ludzkiej powagi. Myślę tu właśnie o najmarniejszym, o Żeniu Hozjuszu. Pasożytnictwo tego młodego człowieka czai w sobie grozę marzeń. Są to marzenia prymitywne w swej zbrodniczości, a mimo to anarchistyczne, burzące porządek form, w których Żenio wyrósł. Więc nawet w owym Żeniu jest potencja pragnień, jest coś więcej niż pospolite łajdactwo, jest — zło.

Gdybyśmy chcieli wysnuwać jakieś wnioski utylitarne z powieści Tadeusza Brezy, musielibyśmy oczywiście wydać wyrok potępiający Żenia et tutti quanti. Ci ludzie są społecznie zbędni, niechże, dogorywają w odosobnieniu, w kręgu swoich nieważnych spraw. Można się na to zgodzić bez żalu z chwilą, gdy zaczną nami kierować kryteria poza literackie. Od tych jednak nie wolno nam odejść, skoro powieść Brezy posiada przedewszystkiem elementy tworzywa literackiego. Ekspresyjność słowa, konstrukcja, samoopanowanie dowodzą o pełnej świadomości pisarskiej Brezy. Istotą jego książki jest jednak kunszt psychologicznych odtworzeń. Nie idą one samopas, nie mają też dowolnego biegu. Są ściśle związane z faktomontażem i służą pogłębianiu i pomnażaniu wiedzy o akcji wewnętrznej. W wyniku tych metod pisarskich otrzymujemy takie świetne rozdziały, jak zwierzenia Grywałda o miłości do Izy, albo śmierć starego Hozjusza. Wymieniam te dwa fragmenty, aby zwrócić uwagę na zupełnie świeże, bardzo liryczne i szczere relacje erotyczne i na epicką „od wewnątrz" historię śmierci, jednocześnie wzniosłej i tchórzliwej.

Pomijam tu — w krótkim omówieniu — liczne, trafnością swoją i niemal odkrywczością zaskakujące obserwacje autora. Są to akcesoria, znamionujące rasowego powieściopisarza, a wypełniające utwór głosami i barwami życia. Clou powieści to przecież, mimo wszystko — dramat Adama Grywałda. Wspomniałam już o tych konfliktach skłonnych do wynaturzeń. Chwalono Brezę za dyskretne podanie tych drażliwych faktów. Ale nie jest to jedyną zaletą autora, że, uniknął szczęśliwie brutalności. Ważna jest cała przygotowawcza finezyjność, która w przeobrażeniach uczuciowych Grywałda dostrzega jakieś fatalistyczne przymusy.

Idąc śladami tych przemian, pozbywamy się zwolna własnych sprzeciwów. Myślę, że jest to duże osiągnięcie autora, który nie mógł przecież liczyć na afirmację większości czytelników. I z tem jednak będzie się musiał pogodzić czytelnik, że „plotka", która jest niejako motorem tej powieści, nie kształtuje się w sensację. Plotka, spełniając tu bowiem zadanie dociekliwe, nie paple, nie rozkrzykuje na cztery strony świata. Ekskluzywność środowiska, jego tak zwana aspołeczność sprawia, że ci ludzie w psychologicznym wikłaniu i rozwiązywaniu swoich spraw osiągają rezultaty raczej bogacące wiadomości o człowieku. Autor, omijając skrzętnie ogólne i powszechne zagadnienia walki o byt, dał wszakże inny, niemniej ważny teatr boju, gdzie człowiek różnicuje, wichrzy i zgłębia swoje namiętności i impulsy, nie zahamowany nakazami, czy też ramami obyczajowości.

W tem zaś, że powieść o Adamie Grywałdzie harmonizowana jest na inną nutę, niż bodajże wszystkie polskie powieści współczesne, jest osobliwa jej wartość. Przerwała może seryjność naszej twórczości powieściowej, ciągle bardzo społecznej, a przecież w tym społecznikowaniu nieśmiałej i bojaźliwej.

Literacko bardzo szczera powieść Brezy nie skłamała też nic o człowieku. Sądzę, że stosując taką metodę badawczą, Breza potrafi dotrzeć do człowieka każdej „sfery" i nie sfałszuje go na pożytek żadnych przekonań.

Herminja Naglerowa.

*) *Tadeusz Breza:* Adam Grywałd. Warszawa, 1936. Nakładem księgarni F. Hoesicka.

BADYLARKA

Ukryła ręce pod fartuchem, stanęła na drodze i patrzyła w chmury, to rozglądała się po świecie.

— W tym roku będzie wiosna wczas — szeptała sama do siebie. I patrzyła. Patrzyła uparcie na smugowate chmury, a pod wieczór na zorzę. Nie wątpiła, że przepowiada trafnie. Chmury były wiosenne, w strzępy porozrywane, ciężkawe, deszczowe chmury. Zorza nie tak czerwona, jak zimowa. Wiosna!

A przecież to dopiero koniec lutego.

„To i cóż! — myślała. — Bywało w początkach marca siewano u ojców marchew i pietruszkę. A później ten raz, co to Glijek kpił. Lat będzie osiem. Wyszło dobrze. Jeszcze jak dobrze! U nikogo nie by.o, a u mnie było. Wtedy nabrałam pieniędzy. Tylko, że znów wtedy ten dług był. Ale dobre i to. Któżby go oddał? Może już te trzy morgi ziemi sprzedanoby z licytacji. Za ten dług."

I tak tuszyła sobie, że przecie wisi na gruncie, choć została wdową. I będzie wisieć. Niechno by jeszcze raz tak utrafiła. Teraz. Glijek przestałby kpić, jak wtedy.

„Ścierwo, baba, z tej Kosutki, no! Jakto jucha, utrafiła" — zazdrościł.

„A chmury przecie deszczowe" — wpatrywała się szczególnie w jedną, która płynęła nad zachodem nisko, czarna jak smoła.

„Zobaczy się co będzie jutro" — pomyślała i odeszła do chałupy.

Skoro świt, już była w polu. Podpatrywała teraz ranne zorze. I te — jak wieczorne — bledsze były, nie zimowe. Tylko wiatr dął chłodny. Ale to może i lepiej, bo osuszy ziemię. Wiadomo, pod wiosnę bywają silniejsze wiatry.

Ani chybi, wiosna! Kosutka odwróciła się ku Warszawie, a i tam, nad miastem, w barwie ciemnej, czaiła się wiosna. Mury, — jak zwykle — rysowały się falisto, niczem pasmo górskie. Nad murami kominy i wieżyce pełniły straż, jak codzień, jak od dawien dawna. Lecz wszystko nabrało ciemniejszej barwy. To... wiosna.

Kosutka ruszyła zwolna ku chałupie. Cała zatopiona w tej jednej jedynej myśli, aby w tym roku nie chybić. Jak w ubiegłym.

Ale żeby nie chybić, trzeba rozważyć błędy. Wszystkie. Ile ich to! Ile? Głowa od tego puchnie. A przecież musowo rozważyć wszystkie, wyklarować, tak wyrównać, aby żadnej nie pozostawało wątpliwości.

Więc Kosutka szła niby ku chałupie, lecz tylko udawała, że idzie. Bo dobrze, jeśli za pół godziny przejdzie swoje trzy morgi, z pięćset kroków długie.

Ale to wystarczy, by porównać swoją i Glijka chałupę, pomyśleć czyja się pierw zawali. Przemyśleć, jak to jeszcze za rosyjskich czasów jeździła z ojcowem warzywem do Warszawy i nie raz trzeba było za miastem do rowu wywalić, bo nikt nie kupił. Jeszcze jak wywalić! Aby nie widział strażniż, bo karę pisał i ludzie, to potem kpili ile chcieli,

Więc to. A potem co się to ze wsią stało! Jak się to rozpadło pole na drobne zuski, na wązkie liniejki.

Myśleć po porządku niesposób.

Czyż nie jest rzeczą ważną, że dziadek umarł zaledwie na parę lat przed ojcem? A pańszczyznę odrabiał. Teraz ludzie nie są tacy silni.

I to, że bez mężczyzny trudniej sobie radzić. I o czworga dzieciach, a zwłaszcza o chorowitej Jasi.

Suwała nogi wolno. Niby szła, a jakby w miejscu stała. Nagle posłyszała śmiech Glijka.

— Cha, cha, cha! Już sąsiadka ziemię wącha? Cha, cha! To się chwali. Tylko jeszcze po brózdach mogłyby pływać żaby.

Kosutka na odpowiedź machnęła ręką i przyspieszyła kroku. Bo już i tak Glijek wszystkie myśli jej zwikłał. To jeno migawkowo sunęła po głowie myśl, że to miała jeszcze przekombinować, gdzie marchew, a gdzie pietruszkę siać, buraki, cebulę, bób, groch na zielono. Kapustę i kalafiory. Wogóle, co siać, a czego nie, czego więcej, czego mniej. Porównać z ubiegłym rokiem, co lepiej płaciło i dlaczego. Jak może być tego roku. Kogo lepiej nająć do zorania pola. Czy Bobielak nie zapcha rynku kalafiorami. Małecki napewno czuwa, jak i ona. Jurkiewicz podobno cieplarnie rozszerzył.

Żeby wiadomo, możnaby inaczej zarządzić. Ale skąd można wiedzieć? Bo to ich tylko trzech?

**
*

W początkach czerwca nerwowa gorączka opanowała Kosutkę. Jak co roku. Ale w tym roku szczególnie.

Kalafiory lada dzień dojdą. Kapusta. Marchew pędzi galopem. Kartofle tylko, tylko zakwitnąć. Groch już strąkuje.

Niech by tylko same kalafiory zdążyły na... na dwadzieścia złotych... niech na dwanaście za kopę! Sto kop, tysiąc dwieście złotych!

„Poszła" tego roku na kalafiory.

A jeśli chybią?

Och! Nie chybią! Lada dzień. Tymczasem jeszcze czternaście złotych kopa.

Jeśliby chybiło, przepadła! Trudno będzie jeszcze jeden rok z dziećmi o głodzie przecierpieć.

Teraz się przecie nie łudzi! Lada dzień dojdą. Cena wytrzyma!

Do Warszawy nie daleko od chałupy Kosutki. Jeden skok i cztery kilometry. Siedem kilometrów do Marszałkowskiej ulicy, gdze kupują wczesne i drogie jarzyny. Z powrotem również tylko siedem kilometrów. Cóż to znaczy na zdrowe nogi? Nic!

Lecz i zdrowe nogi mdleją. Skąd to bierze się tyle kalafiorów na rynku? już na Grójeckiej, na Tarczyńskiej są.

Przeklęty ten Jurkiewicz, podobno z doniczek wysadził trzydzieści tysięcy sztuk na pole. Dwadzieścia tysięcy złotych złapie! Bodaj on przepadł z jego pieniędzmi. Pieniądz rodzi kalafiory, kalafiory pieniądz. Wszystko ten pieniądz!

Przeklęty Bobielak konie zrywa pod ciężarem wozów. Bandosów za jeden złoty na dzień i noc do roboty goni.

Ale jeszcze płacą! jeszcze płacą!

Kosutka po raz dziesiąty dopada rankiem ulicv Marszałkowskiej.

W hurcie na giełdzie dwadzieścia pięć.
Kartofle młode czterdzieści złotych w detalu.
Marchew osiemdziesiąt groszy pęczek.

***

Najęty wóz, z czubem naładowany, telebie się nocą ciężko po zębatej szosie. Kosutka siedzi na tyle wozu i słucha dziwnego rytmu kół. Naprawdę dziwnego. Przecież te koliska wydzwaniają jakąś melodję.

Może jej się tylko zdaje? Ależ nie!

O, tak. Teraz stuknęły normalnie o kocie łby, jak powinny stukać. A teraz idą znów równiej i grają. Naprawdę grają. Grają melodję, którą jeszcze za rosyjskich czasów śpiewał Bobielaków parobek. Ta sama. No ta! Poprostu słowa koliska wydzwaniają. Te same. O, teraz! Czy nie to?

Nie pleć, że ci rady nie da,
Jak cię za łeb trzyma bieda.
Ja na biedę sposób mam...
Na ulicę... i... tram tam...

— Pr-r-r! Stój!

Kosutka zapłaciła jeden złoty i pięćdziesiąt groszy za prawo wjazdu na targowisko. Nowe, wielkie targowisko przy szosie Grójeckiej. Zapłaciła i wjechali z najętym furmanem na plac.

Jest już godzina pierwsza. Wozów dużo. Na szczęście chwycili jeszcze miejsca tuż przy placach numerowanych, określonych białemi linjami. Place numerowane, to place Bobielaków i Jurkiewiczów. Jeszcze puste. Bo za pieniądze mają tu Bobielaki i Jurkiewicze przywilej. Więc po co się mają spieszyć, gdy i tak dopiero o piątej wpuszczą handlarzy.

Kosutkę ten ich przywilej denerwuje. Ale, wiadomo „kto płaci, ten i jedzie". Dobrze że choć chwyciła plac tuż, tuż. To bardzo ważne. Bo handlarze jak te psy, jak te psy gonią. Chwytają towar pierwszy z brzegu. Aby wcześniej do miasta.

Na czarnej tablicy bielą się kredą wypisane orjentacyjne ceny.

Kalafiory pierwszy gatunek po piętnaście złotych kopa w dniu wczorajszym.

— A, to, psiakrew, leci na łeb na szyję! — mówi Kosutka do furmana. Lecz się cieszy, bo jednak utrafiła. Mogą dziś spaść najwyżej na dziesięć. To jeszcze jest wyjście.

Place zapełniają się szybko. Chłopi z dalekich okolic wiozą co mogą, przeważnie jednak resztki starych kartofli. Trafiają się i wozy z kalafiorami. Gdzież jednak im do kalafiorów Kosutki!

Powoli wstaje dzień. Ze wschodem słońca numerowane place zapełniają się wozami, zasłaniają Kosutkę i chłopów zielonemi górami kalafiorów i kapusty.

To nic. Warszawa pochłonie wszystko. Nienasycone miasto. Tymczasem śpi jeszcze, nabiera sił do pazernego skoku po żer.

Między wozami kręcą się tu i owdzie pojedyńcze typy. Wiadome hijeny, dostające się wcześniej mimo zakazu na plac dzięki protekcji u dozorców. Hijeny podpatrują łatwowierne ofiary. Sieją panikę cen. Kpią z cen giełdowych, powiadają, że wczoraj były kalafiory po siedem, nie po piętnaście. Proponują kupno.

Ale któż będzie łatwowierny? Kto ich nie zna? Chcą wyłgać towar za bezcen, potem odsprzedać drogo handlarzom.

Przecież ich wiadomości działają. Działają złowrogo, trwożliwie, podniecają nastroje sprzedawców. Chwila staje się coraz bardziej nerwowa. Już, już za chwilę rozewrą się wrota i dziki, ołachmaniony tłum przekupniów runie na plac.

Jeszcze chwila i dzwon uderzy jakby na alarm.

Tłum wtacza się bezładnym kłębowiskiem. Toczy się tak chwilę, jakby obręczą był skuty, wreszcie skłębia się, uderza falą o fale i pęka na drobne, szare cząstki, żwawo rozpryskujące się ku wozom. Ku wozom na miejscach numerowanych najpierw. Bo anuż ceny?

Anuż brak towaru?

Na szczęście jest towar.

„Numerowani" regulują ceny. Lecz tłum musi się przekonać. Jak ta łowcza psiarnia rozbiega się tłum. Pędzi na oślep od wozu do wozu.

— Kalafiory? Po dwanaście? Wczoraj były po osiem. Numerowani sprzedają po sześć. I jaki towar! Jutro będą po cztery.

— Kalafiory? Po dziesięć? Cóż pani oszalała? Numerowani po sześć. Po pięć nawet! Przecież teraz już polowe. Sprzedaj pani po cztery, to biorę.

— Złodziei złapali! Obława.

— Ilu?

— Ha, ze czterdziestu!

— Chcesz pani za kalafiory po trzy złote? Chcesz pani?

Kosutka blednie, sprzedać, czy nie? Sąsiad, chłop, sprzedał po dwa złote. Nasiona i praca kosztują ją prawie dwieście złotych. Jeśli i jutro tak będą płacić, to za swoje sto kop weźmie trzysta złotych. A będzie sto kop?

— Jezu miłosierny! Kosutce dudni melodja kół. Młotem wali w głowie. Zostawia furmana i biegnie sprawdzić u „numerowanych".

Istotnie sprzedają już po pięć złotych kopa. Zdążyły i u nich polowe razem z jeji dojrzeć. Razem z jej! Z tak pieszczonemi!

Kosutka teraz zdaje sobie sprawę, jak zdawała sobie i w zeszłym roku.

„To własne konie i nawóz, beczkami przez parobków Bobielaka całą zimę wożony z Warszawy. To ciepłe inspekta. Przepadło. Nie utrafiła! Sprzeda za bądź co, aby do domu nie zawieźć. Bo jutro? O, „numerowani" mają tego miliony!

Po targu Kosutka jeszcze nie mogła się oprzeć pokusie i sprawdziła detaliczne ceny na Marszałkowskiej. Na Marszałkowskiej, bo tam nadawały się jej kalafiory. I właśnie sprawdziła, że cena za sztukę trzydzieści groszy. Piękne kalafiory. Takie, jak te, które ona sprzedawała po pięć groszy w hurcie.

***

Pod jesień Kosutka sprzedała ziemię i wyniosła się na komorne do sąsiadów. Nadziwić się nie mogła, że na jej polu, na szczerem polu, budują wielką kamienicę. Nie mogła tego pojąć ani zrozumieć. Dopiero wyjaśnił jej to pewnego dnia Glijek.

— Kosutka nie rozumie, że Warszawa jest wielkie miasto? — tłumaczył Glijek — Warszawa jest wielkie miasto. A nasz brat mały człowiek. Tyle już wsi zginęło! A że budują w polu? Warszawa robi skoki. Potem ku sobie się zgęszcza. Gdzie to Kosutka ma Zagrajków, Wiśniorów, Jagodzińskich, Michalskich, he? Tyle rodów chłopskich we wsiach dawnych pod Warszawą. Kosutka myślała, że ocaleje? Wytrzyma podmiastowe wydatki z trzech morgów? He, he Bobielak i Jurkiewicz nie z naszego brata. Z gotówką przyszli. Poczekają aż ich War-

szawa otoczy wokoło. A nasz brat musi się cofać wcześniej. Dalej i dalej. He? Gdzie podatki i życie tańsze.

— Prawda! — Kosutka stała się bogatszą o jedno doświadczenie. Aż się zdziwiła, że jej to tak jakoś do głowy nie przychodziło pomyśleć o tem. Tak jej się widziało, że tamci, że tamci cofali się z pod Warszawy, by sobie byt poprawić na większych gospodarstwach. Teraz i ona... Ano, cóż robić! Zastanawiała się gdzieby tu na wieś dalszą.

Lecz przed samem adwentem zamąż wyszła. Zaś już po nowym roku mąż uciekł i przy okazji zabrał te pieniądze za grunt.

Ha, cóż robić! Z wielkiej Warszawy był.

Więc Kosutka została na przedmieściach. Była i została badylarką. Jeno teraz już w budce, obok dużej kamienicy, na doniedawna własnem polu.

Wł. Kowalski.

PRACA W WIĘZIENIU

Nastawienie władz centralnych więziennictwa polskiego w okresie organizacyjnym było nacechowane raczej reformizmem, aniżeli chęcią kontynuonia praktyki zaborców. Ostatnie osiągnięcia naukowe w tej dziedzinie metod penitencjarnych było badane i zalecane do stosowania. Wychowawcza rola pracy w więzieniu była należycie doceniana. Rozumiano, że zatrudnianie więźnia najdodatniej nań wpłynie, o ile praca będzie celowa i o ile będzie wynagradzana. Pozornie ruch i ćwiczenia muskułów są samo przez się czemś dodatniem w zestawieniu z bezczynnem trwaniem w zamkniętej celi. Doświadczenia jednak amerykańskie, gdzie kazano więźniom w ciągu 8 godzin dziennie przesypywać piasek z jednego rogu podwórza do drugiego, — wykazały, że praca pozbawiona celu i sensu, upokarzająca dla człowieka, działa na więźnia tak deprymująco, że zdrowie fizyczne nie potrafi tu zapobiec załamaniu psychicznemu, dochodzącemu do granic zbydlęcenia. Wykonywanie pracy celowej, ale bez wynagrodzenia również nie posiada walorów wychowawczych. Więzień zmuszany do pracy skierowywuje swoją inteligencję i energję nie na samą pracę, ale na to, by pracować najmniej i z jaknajmniejszym wysiłkiem. Uczy się pracować źle i przeklinać pracę.

Humanitarne i celowe założenia w dziedzinie pracy więźniów, zawdzięczają swą daleko idącą realizację długoletniemu naczelnikowi Wydziału Pracy Więźniów w Ministerstwie Sprawiedliwości, p. Bolesławowi Czarkowskiemu. Stary bojownik P. P. S., który odbył wiele lat katorgi, umysł jasny, realnie ujmujący sprawy, do tego serce wrażliwe na cierpienia ludzkie i świetna znajomość psychiki człowieka, pozbawionego wolności, — te cechy uczyniły z Czarkowskiego pierwszorzędnego kierownika tego wydziału. Domagał się on, aby jaknajwiększa ilość więźniów była zatrudniona. Naczelnicy i urzędnicy działów pracy dostawali znaczne premie za zatrudnienie poważniejszej ilości, ponad obowiązkowo przepisane minimum, więźniów ze stanu danego więzienia. Kierownictwo więc więzienia było zainteresowane, aby powierzeni ich opiece więźniowie jaknajwięcej dniówek zarabiali. Tworzeniu fikcyj w tej dziedzinie zapobiegały przy robotach niepoddających się ścisłej kontroli, jak np. roboty polne, stałe normy zatrudnienia na hektarze uprawianego gruntu rocznie; — w innych pracach koszt robocizny regulowały ceny rynkowe wykonywanych przedmiotów i normy fachowe.

Ceny przedmiotów i prac, wykonywanych przez więźniów, kalkulują się zawsze taniej, niż na wolności. Od ceny dniówki odliczało się koszt utrzymania więźnia na rzecz Skarbu Państwa i drobne odsetki na premie dla więźniów wyróżniających się w pracy, na premie dla pracujących bezpłatnie w gospodarstwie więziennym, na fundusz zawodowego kształcenia więźniów i na zapomogi dla zwalnianych. Reszta dniówek — to właściwe wynagrodzenie więźnia, co stanowiło 1/4 jego możliwości zarobku na wolności. Wobec zapewnienia utrzymania — wynagrodzenie to nie było krzywdzącym. Odpowiednio do kwalifikacyj więźnia, wynagrodzenie jego dzieli się na 3 kategorie, różniące się od siebie o kilkanaście proc. Według przepisów 60% przyznanego wynagrodzenia więzień może wydać na zakup artykułów spożywczych (biały chleb, tłuszcze) za dalsze 20% można nabywać rzeczy dopuszczone przez regulamin (tytoń, korespondencja), a pozostałe 20% zatrzymuje się, jako fundusz żelazny do dyspozycji więźnia w dniu opuszczenia przez niego więzienia. W ten sposób (znamy kilka wypadków z prowincjonalnych więzień I kl.) pracowity i oszczędny (niepalący!) więzień, który się rzemiosła nauczył w więzieniu, po roku doszedł do płacy I kat. i często dostawał premie za doskonałą pracę, mógł odskładać „na wyjście" ok. 200 zł. rocznie.

Duży nacisk kładło się na fachowe kształcenie więźniów w rzemiosłach. Starannie dobierano instruktorów z pośród posiadających takie kwalifikacje strażników, nieraz angażowano siły z zewnątrz więzienia. Więziennictwo polskie w pierwszem dziesięcioleciu swego istnienia może się poszczycić pokaźną ilością wypadków, gdzie przestępca — analfabeta, nie znający żadnego rzemiosła, wychodził z więzienia, jako piśmienny, wykwalifikowany rzemieślnik, za zarobione i oszczędzone w więzieniu pieniądze zakładał sobie warsztat pracy.

Po za wyjątkami, jak więzienie mokotowskie, sprawa pracy więźniów ulega od lat 6-iu stopniowemu i stałemu pogorszeniu. Od zasady, że Skarb nie powinien na więźniach zarabiać, czyli, że owoce ich pracy winny być w tej czy innej formie, obrócone na ich pożytek; od tendencji zastosowania wobec maksymalnej ilości więźniów pracy, jako środka wychowawczego, — przeszło się stopniowo i dyskretnie do ujęcia więzienia, jako instytucji dochodowej. Uprzednio w doborze przedsiębiorstw i warsztatów, zakładanych w więzieniach, kierowano się myślą, aby z jednej strony dać pracę największej ilości fachowo przygotowanych ludzi (słomiankarstwo, guzikarstwo, klejenie torebek i pudełek), a z drugiej strony szkolić w rzemiosłach długoterminowych skazańców, do czego służyły warsztaty: stolarski, bednarski, koszykarski, szczotkarski, szewcki, krawiecki, introligatorski i inne. W obecnym okresie o założeniu warsztatu decyduje jego rentowność, przy minimalnym nakładzie pracy i kapitału.

(Dok. nast.)

W. W.

F I L M

PASTEUR.

(Kino „Atlantic")

Nie trzeba tu „wielkich słów". I bez tego film ten można nazwać bohaterską epopeą. Epopeą wielkich rewolucjonistów nauki, którzy prowadzą swoje dzieło, pomimo przeszkód, stawianych im przez zacofanie, rutynę i złą wolę, którzy nie zważają na to, że im kamienie pod nogi rzucają zawistni i pełni sceptycyzmu głupcy.

To opowieść nietylko o życiu Pasteur'a. To także historia tych bohaterów ofiarnej pracy, których przyprawiły o kalectwo doświadczenia z radem, to historia tych, których ciała pokryły się gnijącymi ranami pod wpływem ryzykownych eksperymentów. „Pasteur" urasta do znaczenia symbolu.

Film w doskonałych, mocnych scenach odzwierciedla patos walki Pasteur'a, która rozegrała się w ciszy pracowni naukowej, a jej owocem miał być całkowity przewrót w medycynie. Przewrót, dzięki któremu tysiące „nieuleczalnie" chorych mogą być uratowani.

„Pasteur" jest także filmem ostrego kontrastu między światem wielkości, pracy i poświęcenia, a światem zrutynizowanych doktorków, jakby żywcem wziętych z komedii Shaw'a — światem plotki, szyderczej głupoty i nienawiści.

Jak małostkowe są tu prześmiechy i drwiny przy stolikach kawiarnianych — i jak wielkim ich kontrastem jest chwila, w której napół sparaliżowany Pasteur każe się wieźć do szpitala, by tam uratować życie kilkudziesięciu zarażonych wścieklizną chłopów rosyjskich!

Jakże śmieszy i oburza zarazem scena, w której Napoleon III zakazuje Pasteur'owi praktyki, za to, że ośmielił się powiedzieć, iż niehigieniczna pomoc akuszerki może uśmiercić siostrę cesarzowej.

Mała i nikczemna jest kampania, prowadzona przez „fachowców"-lekarzy. Tym większa jest postać Pasteur'a, który naraża się na gilotynę, ratując „niezalegalizowanym sposobem" chorego chłopca.

Scenarzysta, dla uwypuklenia kontrastu, przeciwstawił odkryciu i metodzie Pasteur'a dawną ludową metodę „zamawiania" przez znachorów. „Czarownica" z zapaloną pochodnią krąży dookoła człowieka, pogryzionego przez wściekłego psa, mamrocząc pod nosem zaklęcia.

Paul Muni w roli Pasteur'a pokazał najwyższą klasę aktorską.

Jak relikwię unosimy w sercu pamięć Pasteur'a, tego wielkiego obrońcę miłości człowieka.

Kaz. L.

WYDARZENIA I DOKUMENTY

OŚWIADCZENIE LIGI OBRONY

Zarząd Główny Ligi Obr. Pr. Cz. i Ob. ogłosił oświadczenie treści następującej:

„Zarząd Główny Ligi Obrony Praw Człowieka i Obywatela, głęboko wstrząśnięty ponurym dramatem, jaki władze sowieckie zgotowały swemu krajowi i całemu światu, stwierdza, że stracenie 16 opozycjonistów komunistycznych, skazanych w procesie moskiewskim, i warunki, w których toczył się proces, zapadł i został wykonany wyrok, urągają wszelkiemu poczuciu ludzkości.

Wszak wśród straconych znajdowali się ludzie, którzy w republice Sowietów piastowali najwyższe urzędy i przez lata całe byli przywódcami robotników rosyjskich. Większość skazanych była już unieszkodliwiona dla Rządu w chwili, kiedy mogły dojrzewać plany dalszych zamachów terorystycznych, nie urzeczywistnionych zresztą. Sam przebieg śledztwa pozostanie nazawsze tajemnicą, którą straceni zabrali ze sobą do grobu. Do wiadomości ogółu dotarły tylko przemówienia oskarżonych, dające obraz niesłychanego sponiewierania i upokorzenia człowieka. Atmosfera procesu, wciągnięcie w orbitę spisku Trockiego i „Gestapo" na jednej płaszczyźnie, straszliwa naganka na oskarżonych w prasie i na zgromadzeniach, wreszcie grad adresów hołdowniczych do Stalina, wywołują odruch najżywszej odrazy.

Dajemy wyraz głębokiemu przeświadczeniu, że wyzwolenie ludzkości może i powinno być osiągnięte bez posługiwania się podobnemi metodami".

NIEDOROZWÓJ

W najnowszym wydaniu *Małego Rocznika Statystycznego* znajdujemy szereg zestawień cyfrowych, które mówią o naszym społeczno-gospodarczym i cywilizacyjnym niedorozwoju.

Kilka przykładów.

W zużyciu *prądu elektrycznego* przypada w Polsce w r. 1935-tym na jednego mieszkańca 82 kWh. W Czechosłowacji — 193, we Włoszech — 249, we Francji 346, w Anglii 372, w Niemczech 404, w Szwajcarii 1,219 kWh.

Telefonów na 1.000 mieszkańców przypada w Danii 101, w Szwajcarii 88, w Anglii 47, w Niemczech 45, w Belgii 39, w Austrii 36, we Francji 32, w Czechosłowacji 12, w Polsce — 6.

Samochodów przypada na 1.000 mieszkańców we Francji 48,6, w Anglji 40,1, w Danii 34,4, w Norwegii 20,4, w Belgii 18,7, w Holandii 17, w Czechosłowacji 7,4, w Austrii 5,8, w Polsce 0,7 (ogółem w r. 1935-tym samochodów w Polsce 24,8 tys., w tem 19,9 tys. osobowych i 4,9 tys. ciężarowych).

Radioodbiorników na 1000 mieszkańców przypada w Polsce — 15, na Łotwie 33, w Czechosłowacji 56, na Węgrzech — 40. Na 1 stycznia 1936 r. radioodbiorników było w Polsce 491,8 tys., w Niemczech 6.143 tys., w Anglii 6.781 tys.

W spożyciu cukru przypada w Polsce na jednego mieszkańca (r. 1935) 9,0 kg., w Niemczech 23,2, we Francji 26,7, w Austrji 29,3, w Szwecji 46,3, w Anglji 47,9, w Danii 58,5.

Łóżek w szpitalach na 10.000 mieszkańców przypada w Szwajcarii 106, w Danii 92,4, w Szwecji 89,7, w Niemczech 87,2, w Norwegii 78,3, w Austrii 67,1, w Czechosłowacji 35,7, w Polsce — 21,2.

Lekarzy na 10.000 mieszkańców przypada w Austrii 12, w Estonii 8,1, w Niemczech 7,4, we Włoszech 7,4, na Łotwie 6,8, w Czechosłowacji 6,5, w Polsce — 3,1.

UNJA MIĘDZYPARLAMENTARNA W WALCE Z BEZROBOCIEM.

Na odbytym w Budapeszcie kongresie Unji Międzyparlamentarnej obradowano, między innemi, nad walką z bezrobociem.

Rzecz nie była improwizowana: trzy komisje Unii od grudnia 1935 r. studjo-

wały zagadnienie i opracowywały projekty uchwał. Zaatakowano front bezrobocia na trzech odcinkach: 1) robót publicznych, 2) tygodnia pracy i 3) ograniczeń emigracyjnych.

Sprawę robót publicznych referował na kongresie Francuz p. Tournan. Sprawozdawca wyszedł z założenia, że podjęcie robót publicznych, zakrojonych na szerszą skalę, wprowadziłoby do obrotu pewne ukrywające się obecnie kapitały, ożywiłoby działalność gospodarczą i wzmocniłoby zachwiane zaufanie.

Uzgodnienie polityki międzynarodowej na odcinku robót publicznych ułatwiłoby pełniejszą eksploatację źródeł i rynków zbytu i oparłoby solidarność międzynarodową na realnym gruncie technicznym. Dotychczas brak międzynarodowego porozumienia w tej mierze stał na przeszkodzie skuteczności akcji zarówno Ligi Narodów, jak Międzynarodowego Biura Pracy. Sprawa organizacji robót publicznych została jednak wniesiona na porządek dzienny najbliższej — w 1937 r. — Międzynarodowej Konferencji Pracy.

Uchwały Unii zalecają *utworzenie w każdym kraju centralnego aparatu dla koordynacji wszystkich poczynań w tym zakresie;* wreszcie proponują ponowne podjęcie poniechanej swego czasu inicjatywy Alberta Thomas, aby w dziedzinie robót publicznych, przy współdziałaniu odpowiednich instytucji (np. Banque des Réglements internationaux) *rozpocząć poważną współpracę międzynarodową* nad planem finansowym, gospodarczym i społecznym walki z bezrobociem.

Sprawie ograniczenia tygodnia pracy do 40 godzin poświęcony był referat Belga, p. Alberta François. W czerwcu 1936 r. odbyła się w Genewie Międzynarodowa Konferencja Pracy, która zwykłą większością głosów przyjęła trzeci z kolei projekt konwencji w sprawie ograniczenia tygodnia pracy przy robotach publicznych. Wszystkie trzy projekty nie uzyskały natomiast kwalifikowanej większości ⅔ głosów potrzebnej do ostatecznego uchwalenia projektów.

Nawiązując do tych debat Konferencji Pracy p. François wyraził nadzieję, że projekty te zostaną jeszcze przedyskutowane na przyszłej Konferencji Pracy w 1937 r. Forsowana przez referenta zasada 40-godzinnego tygodnia pracy natrafiła na plenum Unii na sprzeciw, który wyraził się nawet w żądaniu imiennego głosowania nad projektem rezolucji. Sprawozdanie z tego głosowania zaznacza, że dzięki głosom delegacji francuskiej, włoskiej, rumuńskiej, czeskosłowackiej, jugosłowiańskiej, a częściowo węgierskiej i skandynawskiej, projekt przeszedł 118 głosami przeciw 32 przy 21 wstrzymujących się.

Przy omawianiu zagadnień migracyjnych zaznaczono, że wszelkie ograniczenia w tej dziedzinie są bronią obosieczną, pogłębiają kryzys w kraju emigracyjnym i stwarzają w kraju imigracyjnym również pewne trudności gospodarcze, przez pozbawienie go napływu konsumentów. Istnieją jeszcze na świecie kraje słabo eksploatowane z powodu braku robotnika i kapitału, wówczas kiedy gdzieindziej szerzy się bezrobocie, pochłaniające bezprodukcyjnie olbrzymie sumy. *Ścisłe współdziałanie więc między państwami obu typów* mogłoby znacznie odciążyć całość gospodarki światowej.

Opierając się na tych przesłankach Konferencja Unii uchwaliła apel do rządów, aby rozważyły możliwość *zniesienia wszelkich ograniczeń emigracyjnych* i zawarcia układów o zbiorowej emigracji robotników z krajów przeludnionych do krajów słabo eksploatowanych.

Unja podsuwa dalej Międzynarodowemu Biuru Pracy inicjatywę zwołania konferencji dla przepracowania splotu zagadnień politycznych, społecznych, gospodarczych, finansowych i prawnych, które powstać muszą przy powrocie do liberalizmu migracyjnego, zwłaszcza zaś kwestii zaludnienia terytorjów niedostatecznie dotąd eksploatowanych.

Z PANOPTICUM.

W czasopiśmie *Myśl Polska* czytamy:

„Czas już najwyższy, by z naszej gorączkowej i fanatycznej mobilizacji do świętej wojny pod znakiem krzyża i w obronie krzyża został wrócony do życia i stanął pośród nas wielki i straszny Torquemada — inkwizytor".

„Jeśli nie powstaną wśród nas Ignacowie Loyole i Savanarole i nie potrafią z taką, jak tamci, płonącą wiarą oprzeć się o krzyż i oczyszczający ogień — spotka Polskę los umęczonej Hiszpanii".

SŁOWA PRAWDY

Czytamy w *Robotniku:*

„Wkrótce po wybuchu rokoszu w Hiszpanii ukazał się manifest, stający w obronie Rządu. Manifest ten podpisali m. in. Menendez Pidal, prezydent Akademji hiszpańskiej i katolik żarliwy, dalej pisarz katolicki Marchalar, Ortega, Gasset, Perez Ayala, pos. Ossorio Guallardo i in.

Ten ostatni, b. minister, poseł do parlamentu od lat 20, gorący katolik, złożył prasie oświadczenie treści następującej:

„Jestem rad, że mam sposobność stwierdzenia przed światem chrześcijańskim i postępowym, że oskarżenia, jakoby Hiszpanią rządził rząd demagogiczny i destrukcyjny, są zupełnie mylne.

Od zwycięstwa wyborczego Frontu Ludowego mieliśmy trzy rządy. Składały się one wyłącznie z republikanów burżuazyjnych, zwolenników parlamentaryzmu, ludzi umiarkowanych.

Jeśli można coś zarzucić rządowi, to jedynie to, że działał z nadmierną powściągliwością i że opóźniał reformy społeczne.

Jestem daleki od komunizmu i zawsze zalecałem rozwiązania w duchu demokracji chrześcijańskiej; musiałem wszakże często krytykować republikanów za brak inicjatywy jeśli chodzi o postęp w Hiszpanii, którego ona tak potrzebuje. Być może, że gdyby rząd zaryzykował tę rewolucję, to prawdopodobnie uniknąłby rokoszu, z którym musi obecnie walczyć.

Jako chrześcijanin i jako bezstronny świadek, oświadczam, że cokolwiek nastąpi, odpowiedzialność za ten rokosz przeciw władzy legalnej spada na tych co go wywołali. Kto chce zwalić winę na Front Ludowy, popełnia świadomie kłamstwo w celu zdezorientowania uczciwej opinii".

„I. K. C." POD PRĘGIERZEM.

Wszystkie trzy centrale związków zawodowych, obejmujące olbrzymią większość pracowników umysłowych, prywatnych, samorządowych i państwowych, wystąpiły z napiętnowaniem *Ilustrowanego Kurjera Codziennego.*

Wspólna uchwała Unii Związków Zawodowych Pracowników Umysłowych i Rady Naczelnej Związków Pracowników Samorządowych:

„W ostatnich czasach mnożą się ataki na ruch zawodowy pracowników państwowych, samorządowych i prywatnych, lub poszczególnych jego części z okazji zdrowych i słusznych wysiłków, podejmowanych dla konsolidacji tego ruchu. Niektóre organy prasowe usiłują sfałszować treść tych wysiłków, insynuując im tendencje polityczne, a nawet wręcz podając w wątpliwość ich stanowisko państwowe.

Przedmiotem szczególnych ataków stał się Związek Nauczycielstwa Polskiego, którego poszczególne oddziały zgodnie z ogólnymi tendencjami domagają się zacieśnienia węzłów współpracy Z. N. P. ze wszystkimi organizacjami zawodowymi, nie wyłączając organizacyj robotniczych. Te uchwały dały powód kilku organom prasowym do zaciekłej kampanii przeciwko największej i zasłużonej organizacji nauczycielstwa polskiego. Do wręcz oszczerczych zarzutów posunął się *I. K. C.* który postawił władzom Z.N.P. zarzut wszczepiania jadu bolszewizmu, partyjnictwa i t. p.

Wobec powyższego niżej podpisane centrale organizacyj pracowniczych uważają za swój obowiązek stwierdzić publicznie, że działalność Związku Nauczycielstwa Polskiego, zmierzająca do konsolidacji całego świata pracy, jest słuszna i celowa, że Z. N. P. spełnia doniosłą i pozytywną rolę w życiu państwowym i

społecznym i w konsekwencji potępiają oszczerczą kampanię prowadzoną przeciw tej organizacji przez niektóre organa prasowe, a w szczególności przez „Ilustrowany Kurier Codzienny", znany z wrogiego stanowiska w stosunku do wszystkich instytucyj pracowniczych".

Podpisane:

Unia Związków Zawodowych Pracowników Umysłowych

Rada Naczelna Związków Pracowników Samorządowych.

Uchwała Reprezentacji Zawodowej Pracowników Państwowych:

„Reprezentacja Zawodowa Pracowników Państwowych po zapoznaniu się z art. I. K. C. p. t. „Konsolidację społeczeństwa rozbijają agitatorzy partyjni" z dnia 11.VI. 1936 r. Nr. 161, postanowiła potępić metody działania tego pisma w stosunku do pracowniczego ruchu zawodowego, oddając całą sprawę pod sąd ogółu pracowników państwowych, którzy świadomi wrogiego stosunku I. K. C. do zagadnień pracowniczych potrafią wyciągnąć odpowiednie konsekwencje".

Podpisano:

Reprezentacja Zawodowa Pracowników Państwowych.

Jak dalece posuwa się systematyczna akcja wypalania tego wrzodu ze społeczeństwa pracowniczego świadczy odezwa, jaką wydały „Związki Zawodowe i Zrzeszenia Pracownicze Ostrowca i okolicy". W odezwie tej między innymi czytamy:

„Są pisma, które z uwagi na korzyści materialne, czy też sympatie, podporządkowują się woli jednego odłamu społeczeństwa i to zwykle odłamu materialnie najsilniejszego i dążą konsekwentnie do zniszczenia wszystkiego, co dla danej grupy jest niekorzystne, lub co jej się nie podoba. Jaskrawym tego przykładem są niezliczone enuncjacje sławnego „Ilustrowanego Kuriera Codziennego", bluzgającego jadowitą śliną na wszystkie zdobycze Świata Pracy. Pamiętamy wszyscy kampanię tego pisma przeciw idei ubezpieczeń społecznych. Rozpisywało ono ankiety na ten temat i ogłaszało z triumfem ich wyniki. Lecz ankiety te nie były wykładnikiem opinii sfer pracowniczych, najwięcej w tym zainteresowanych. Pracownik umysłowy i robotnik nie zabierał w nich głosu, bo szkoda słów na odpieranie tych złośliwych lecz bezsilnych ataków. Uważał, że polemika z tego rodzaju insynuacjami, inspirowanymi przez możnych protektorów „I. K. C." ubliżałaby godności pracowniczej.

Nadszedł czas, kiedy Świat Pracy, wyprowadzony wreszcie z równowagi tymi niecnymi atakami, musi na nie odpowiedzieć nie słowem, lecz czynem.

Jeżeli „I. K. C." jest naszym wrogiem, to należy mu odpowiedzieć jak wrogowi. Nie wolno nam popierać pisma, które godzi w nasz byt. Nie powinno być jednego domu pracowniczego, w którym znalazłyby się wydawnictwa koncernu „I. K. C.". Ogłaszamy bezwzględny bojkot wszystkich wydawnictw koncernu „I. K. C." a więc: „Ilustrowanego Kuriera Codziennego", „Tempo dnia", „Światowid", „Raz, Dwa, Trzy", „Tajnego Detektywa", „Na Szerokim Świecie", „As", „Wróble na Dachu" i wzywamy wszystkich pracowników umysłowych i robotników do absolutnego wstrzymania się od abonowania i kupowania tych wydawnictw".

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Panu St. G. w Krakowie. Nie możemy zamieścić.

Panu M. K. w Przemyślu. Pisaliśmy o tem w n-rze 4-tym „Epoki".

Pani Jadwidze Z. w Skierniewicach. Jeszcze nie nadaje się do druku, choć widać przebłyski talentu. Więc — do pracy!

Pani Helenie W. w Nałęczowie. Dziękujemy, wysłaliśmy.

Panu Janowi M. w Stanisławowie. Trywialne. Nie dla pisma o poziomie „Epoki".

Panu St. A. L. we Lwowie. Wszystkim wysłaliśmy.

Panu Z. R. w Sosnowcu. Nie trzeba się zrażać. Tak już jest u nas: ludzie aktywni, ludzie dobrej inicjatywy napotykać muszą liczne trudności ze strony tępego biurokratyzmu. Nasze życie dźwignęłoby się mocno, gdyby nie ta prawdziwa plaga.

Pani Zofji B. w Poznaniu. Straszliwie przesłodzone. Co innego uczucie, a co innego czułostkowość i ckliwość.

Panu Fr. L. w Toruniu. Dziękujemy.

Panu J. R. w Toruniu. Nie wszystkim się odpowiada. Sporo takich niecnych ataków przemilczamy. A w razie czego — poda się do sądu.

Pani Annie W. w Bydgoszczy. Nieraz jeszcze do tej sprawy powrócimy.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. PIERACKIEGO 13 — TEL. 213-90 — KONTO P.K.O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.

PRENUMERATA kwartalnie — zł. 3.— Numer pojedyńczy 60 gr.

OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 2982 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3.